Nr. 16. Kraków, Poniedziałek 17 Kwietnia 1911. Rok II.

Cena prenumeraty w Krakowie i na prowincyi:
z odnoszeniem i przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . K 1·80
Półrocznie . . . . K 3·50
Rocznie . . . . K 6·—
W Niemczech i w innych Państwach Związku poczt.: kwartalnie. . . K 2·50
Rękopisów się nie zwraca.

Ceny ogłoszeń:
Ogłoszenia (inseraty) za 1 wiersz petitowy lub jego miejsce . . 20 h.
Nadesłane, wiersz petitowy lub jego miejsce . . . . . . 80 h.
Nekrologi za wiersz petitowy . 60 h.
Doniesienia o ślubach zaręczynach itd. wiadomości po 1 K za wiersz.
Drobne ogłoszenia za wyraz 6 h, najmniej 60 h.
Wyrazy grubszem pismem liczą się podwójnie.

GAZETA PONIEDZIAŁKOWA

wychodzi zawsze w Poniedziałek, o godzinie 6-tej rano.

Prenumeratę przyjmują:
zamiejscową: Administracya „Gazety Poniedziałkowej" i wszystkie urzędy pocztowe; miejscową: Administracya „Gazety Poniedziałkowej", główna trafika w Rynku, agencya J. Hopcasa i A. Salomowej, ul. Sławkowska 2, biuro dzienników M. Hupczyca, ul. Wiślna i biuro dzienników Blocha, ul. Gertrudy. Zamiejscową prenumeratę i ogłoszenia (inseraty) przyjmują: we Lwowie biuro dzienników S. Sokołowski Pasaż Hausmana 9. W Przemyślu Heuman. W Tarnowie O. Haul. W Wiedniu Hermann Goldschmied (sprzedaż pojed. numerów), I Wollzeile 6. M. Dukes Nachf., Haasenstein & Vogler (także w Hamburgu, Frankfurcie n. M., Berlinie, Lipsku, Bazylei i Wrocławiu). R Mosse (także w Berlinie, Hamburgu, Monachium i Norymberdze). H. Schalek Wollzeile. W Paryżu Société Mutuelle de Publicite A. Lorette, directeur, Rue Rougemont 14.

Biura Redakcyi i Admin. w niedziele od 7 wieczór Zielona 7. (Druk. A. Rippera).
Adres Redakcyi i Administracyi przez ciąg całego tygodnia: Kraków, Zielona 8.
Nr. telefonu 510 dla rozmów zamiejscowych w niedziele od 8 wieczór.

Do nabycia na dworcach kolej. i ajencyach dzienników w całym kraju.
Cena numeru pojed. tak w Krakowie jak i na prowincyi 10 h.

TREŚĆ NUMERU

Dzisiejszy numer świąteczny „Gazety Poniedziałkowej" obejmuje 32 stron druku.

Zadanie wyborów.

(Enuncyacya prezydenta Izby poselskiej Dra Roberta Pattai'a.)

Specyalny wywiad „Gazety Poniedziałkowej".

Wasz korespondent wiedeński miał w tych dniach sposobność, nawiązania rozmowy o ruchu wyborczym z prezydentem ostatniej Izby poselskiej Dr. Robertem Pattai'em, przyczem z ust jego usłyszał następujące uwagi:

— Najważniejszym celem i zadaniem czekającej nas walki wyborczej według mego zdania jest, aby nowej Izbie poselskiej nadać skład taki, któryby zapewniał jej zdolność do pracy. Dotychczasowa jej większość opierała się bezwątpienia na zdrowej podstawie; zwłaszcza zaś współpracownictwo Niemców ze stronnictwami polskiemi w kwestyach dotyczących utrzymania państwa i jego konieczności, nic nie pozostawiało do życzenia. Odpowiadało to zresztą tradycyom historycznym z pierwszych czasów naszego parlamentaryzmu oraz faktycznym potrzebom monarchii i reprezentowanych w niej ludów. Mimo to uznawano ogólnie, że większość ta w dotychczasowym swoim składzie była zbyt słabą, aby zapewnić mogła nieprzerwany tok rozpraw i pracy parlamentu, i wobec tego też w zbliżających się wyborach należy dążyć przedewszystkiem do odpowiedniego wzmocnienia stronnictwa większości.

— Pan Prezydent pragnie przez to widocznie zaznaczyć, że było to pozytywnym celem rozwiązania Izby. Lecz jak należy sobie wyobrażać to wzmocnienie większości?

— Co do stronnictw niemieckich właściwe wskazówki daje już sama z siebie ta okoliczność, iż znaczna liczba niemieckich mandatów podczas poprzedniej kompanii wyborczej stracona została dla stronnictw mieszczańskich przez zbyt zaciekłą walkę pomiędzy chrześcijańsko socyalnymi a Niemcami wolnomyślnymi. Mandaty te przypadły w udziale skrajnym partyom i obecnie muszą być odzyskane.

— Czy pan Prezydent uważa za możliwe zawarcie kompromisu między niemieckiemi partyami mieszczańskiemi?

— Dla czego nie miałoby to być możliwem wśród stronnictw niemieckich, jeźli, jak się zdaje, przyjdzie do skutku wśród stronnictw czeskich? Żadna z dwóch wielkich grup niemieckich nie potrzebuje się przytem wyrzec swoich zasad, ani cokolwiek z nich uronić, ponieważ, jako opierające się na idei państwa, są bardziej do siebie zbliżone, niż każda z nich osobno do stronnictw skrajnych. Zadaniem więc obu stron powinno być złagodzenie walki na terenie spornym oraz wzajemne popieranie się tam, gdzie obu grupom zagraża przeciwnik wspólny. W ten sposób większość dotychczasowa wzmocni się sama przez się a nadto uniknie się tej niedorzeczności, iżby z walki między dwoma obozami narodowemi wyszedł zwycięzko czynnik międzynarodowy, czyli innemi słowy, iżby mniejszość pokonała faktyczną większość.

— Czy pan prezydent mniema, że ten punkt widzenia i wogóle te względy mogą i powinny być miarodajnemi także w walce wyborczej w Galicyi?

— Stosunkowo w tym kraju, który pan tu jako publicysta reprezentujesz, nie znam tak dalece, iżbym mógł rościć sobie prawo do należytej ich oceny. Rozumie się samo przez się, że tu należy przywódcom partyi polskich pozostawić zupełnie wolną rękę w wyborze taktyki, którą dla kraju swego uznają za najodpowiedniejszą. Ogólnikowo tylko chciałbym zaznaczyć, że mojem zdaniem i tu zalecałoby się bardzo, ażeby w walce wyborczej stronnictwa mieszczańskie na pierwszy plan wysuwały to, co je łączy, a nie to, co je rozdziela. W przeciwnym bowiem razie i tu zdarzyć się może, że z ich wzajemnego zwalczania się, skorzysta ktoś dla nich zupełnie obcy i wrogi. Koło poskie było zawsze, już od chwili swego powstania, dzięki panującej w niem karności i dzięki doskonałemu, świetnemu nieraz kierownictwu, jedną z najsilniejszych podpór austryackiej idei państwowej. Mądra jego polityka wielkie też usługi wyświadczała krajowi, które Koło w Wiedniu reprezentuje, a który w obrębie państwa austryackiego czuje się zadowolonym, nadto zaś zapewniała reprezentacyi polskiej w parlamencie austryackim zawsze stanowisko wpływowe i świetne. Życzyć więc tylko należy, (— a co domnie wierzę nawet w spełnienie się tego życzenia) ażeby mądra przezorność u przewódców oraz dojrzałość i świadomość w celu u wyborców polskich i nadal stan taki utrzymała.

— Za życzliwe te dla społeczeństwa polskiego słowa szczerze dziękuję, panie Prezydencie. Sądzę że ten poważny apel wychodzący z miejsca, które

FELIKS JABŁCZYŃSKI:

Około Sztuki.

W bazylice ś-tej Apolonji cicho. Rusztowania wewnątrz pną się w górę po ścianach i filarach aż po same sklepienia, napełniając jej wnętrze plątaniną belek, wiązań i pomostów, przysypanych pyłem kamienia.

Na jednem z rusztowań jeszcze ktoś pracował, chociaż było to południe i robotnicy porozchodzili się na obiady.

Przypięty do belki, wisiał tam szkic na drzewie z wizerunkiem ś-tego Teodora — wzór do rozpoczętej mozajki. Święty miał wyzłoconą aureolę naokoło głowy, postać suchą, długą, czarniawą. Patrzył przed siebie szeroko ro-wartemi oczyma, wzrokiem stężałym, jak zwykle święci na mozajkach bizantyjskich. Miał chude, długie ręce, suche, jeszcze czarniejsze stopy, bo święci nie mogli mieć wtedy białych rąk niby lutniści. Stał tam warsztat, a na nim, kupkami, dobrane podług barw, leżały kamyki mozajkowe.

Chociaż minęło już południe, Zeno rozrabiał cement. Ubrany w szarą, krótką, płócienną bluzę, przepasany mocno skórzanym pasem, w długich popielatych pończochach i krótkich do kolan spodniach, obuty w lekkie trzewiki czarne, w sukiennej, wenecklej czapce na obfitych, fryzujących się włosach, stał giętki, młodzieńczy, pięknie zbudowany, jak owi łucznicy na obrazach Carpaccia. Stał i mieszał cement.

Ale robota szła mu niesporo. Zamyślony był, nerwowe ręce zdawały się pragnąć ucieć od roboty. Kopja św. Teodora na murze, w szeregu innych świętych, już skończonych, zaledwie była rozpoczęta. Zaznaczono ciemnemi kamykami tylko kontur. Twarz posiadała tylko włosy i oczy. Brakowało ust i nosa, co przyszłej twarzy świętego nadawało wyraz zabawny i wystraszony, ze świętością nielicujący.

Zeno skończył rozrabianie, odsunął miskę i narzędzie i począł wybierać kamyki, aby zrobić świętemu nos i usta. Nagle, po krótkiem namyśleniu, brwi młodego artysty ściągnęły się, następnie krótki, energiczny uśmiech przeleciał mu po twarzy. Wyprostował się, rzucił kamyki na stół tak, że rozleciały się, spadając przez szpary na rusztowania, sprawiając hałas chwilowy wśród ciszy świątyni.

Twarz miał bladą, oczy nabrały wyrazu głębi i ciemności granatu.

Począł pośpiesznie strzepywać cement z ubrania, oczyścić czapkę, umył ręce i szybko, jak jeleń, zbiegł z rusztowania. W bazylice na dole rozległy się jego kroki pośpieszne i ucichły nagle w wyjściu.

Święty pozosał sam. Przed nim na murze na mokrym, świeżo skropionym kamieniu, rozpoczęto jego kopję, jego wizerunek, któremu przed chwilą przypatrywał się z zajęciem, śledząc postęp roboty: bez ust i bez nosa!!

Święty czekał i nadsłuchiwał. Nic: za oknem zaświergotały wróble, zabrzęczała zabłąkana mucha, szukająca wyjścia, trzasnęła belka. Tylko wilgotny wiatr chodził po rusztowaniach, poruszając lekko piórkami, które wypadły zapewne z gniazd jaskółczych nad oknami.

Święty Teodor zmarszczył się: spotkała go obraza, najzupełniej niezasłużona i niespodziewana! Co się stało?

Przed bazyliką, przed jej starym, romańskiem portalem z czerwonego marmuru, z mnóstwem figur i bestyi, uwikłanych w liście wina i akantu, panowało słońce nieruchome, ślepiące, zmieniając wszystko w blask i mieniące się cienie. Kilka popielatych, pokręconych oliwek przy parkanie z wapienia rzucały na białą, rozgrzaną ziemię wikłaninę cieniów, przesypanych krążkami słońca, które błyszczały niby nowe cekiny.

zajmował tak długo niezapomniany Smolka, nie przebrzmi bez echa wśród Polaków, którzy zawsze cenili ponad wszystko parlamentaryzm i konstytucyę.

— A właśnie dla parlamentaryzmu będą obecne wybory pewnego rodzaju próbą ogniową. W walce, jaka się teraz rozpocznie między stronnictwami, mniej rozchodzić się będzie o obecny system rządów, niż o kwestye parlamentaryzmu. W szerokich bowiem Kołach ludności nie trudno dziś dostrzedz pewnego zniechęcenia do systemu parlamentarnego i to z tej przyczyny, że nieproduktywne spory i zatargi, które zakłócały stale parlamenty kuryalne, nie znikły odrazu w pierwszym parlamencie ludowym. Parlament ten dokonał bezsprzecznie ważnych i wielkich prac i zadań, — mimo to pod niejednym względem zawiódł oczekiwania wyborców. I właśnie przez pożądane wzmocnienie większości to można będzie zmienić na lepsze, a tem samem spełnić gorące życzenia ludności. Większość ta może atoli w takim tylko razie należycie sprostać swoim zadaniom, jeżeli nie będzie zdana na łaskę lub niełaskę opozycyi mniejszości. Do tego potrzeba, jak już zaznaczyłem, przedewszystkiem liczebnego wzmocnienia większości. Lecz i ta sama jeszcze nie wystarczy, dopóki regulamin Izby nie będzie jej dopomagał do spokojnego toku pracy. To też co do mnie pragnąłbym przedewszystkiem, ażeby wyborcy te dwa punkty widzenia przedewszystkiem mieli na uwadze i należycie uwzględniali. Jeśli te dwa warunki się spełnią, wówczas pozytywna praca w austryackim parlamencie na właściwą wejdzie drogę. I wówczas też nie będzie się powtarzał tak częsty dziś zastój w machinie parlamentarnej i państwowej, który obecnie jest stałem niebezpieczeństwem dla konstytucyi!

Pan baron Bienerth.

Gdy Dr. Körber przed 11 laty obejmował prezydyum gabinetu austryackiego, przewidywano ogólnie, że jego rządy będą w administracyi państwowej erą reform postępowych, nowoczesnych. I przewidywania te nie zawiodły. Żaden premier austryacki ani przed nim ani po nim nie wystąpił z tylu donośnymi projektami, jak on właśnie, a nie jego wina, iż ówczesne parlamenty kuryalne odmówiły mu współpracownictwa, że z wyjątkiem ustawy kanałowej i kilku innych nic więcej nie dało się urzeczywistnić. Powołanie barona Becka na prezydenta gabinetu było nie tylko dla niego, który w zwykłem ubraniu, w jakiem siedział przy swojem biurku, pospieszyć musiał do cesarza, lecz także dla publiczności niemałą niespodzianką. Inne zupełnie wrażenie wywołała wiadomość w dniu 8 listopada 1908 r., że misyę utworzenia nowego gabinetu Korona powierzyła baronowi Bienerthowi. Na twarzy wielu wybitniejszych polityków wywołała ona gorzkie rozczarowanie, a gdy po tygodniu zdołał on wreszcie z niemałym trudem gabinet swój utworzyć, nikt nie pytał, nikt się nie zastanawiał nad tem, co nowy premier zdoła zdziałać dla Austryi. Natomiast pytano ogólnie, co teraz czynić będzie Dr. Gesmann wódz stronnictwa chrześcijańsko socyalnego. Za tak mało samodzielnego uważano ogólnie „nowego męża“, w którego ręce złożono rządy Austryi.

Obawy co do przewagi Gessmanna nad Bienerthem nie we wszystkiem się spełniły. Różnica charakterów obu tych polityków była zbyt wielką, iżby dłużej obok siebie rządzić mogli. Dr. Gessmann jest statystą o wielkiej wiedzy, a przytem politykiem ogromnie ambitnym, żyjącym tylko dla polityki, przepełnionym energią i przedsiębiorczością, a nadto duchem bardzo niespokojnym. Nie lubi on także dróg prostych bezpośrednio i otwarcie wiodących do celu, lecz najczęściej chadza ścieżkami pobocznemi, operuje manewrami, które mają przeciwnika zaskoczyć, ubezwładnić niespodzianie. Baron Bienerth jest człowiekiem innego zupełnie pokroju. Niema w nim ani odrobiny namiętności, lecz niema także większego, głębszego zainteresowania dla polityki. Nie był on nigdy i nigdy też nie będzie pionierem i drogowskazem. Z beznamiętną obojętnością, bez ścisłego planu, bez oryginalnego zamiaru brnie on na chybił trafił w ciemną przyszłość, zdając wszystko na przypadek i łaskę Boską. W tej drgającej wciąż konwulsyjnie Austryi, w której stosunkom politycznym brakuje zupełnie takich łagodnych wyrażeń, jak napręzenie lub nieporozumienie, a natomiast roi się od wstrząśnień, zaburzeń i przesileń, baron Bienerth stanowi dziś jedyny punkt spokojny, reprezentuje zasadę niewzruszonego spokoju i niczem niezamąconej nonszalancyi. Pod tym względem przewyższa on nawet starego, tylokrotnie fałszywie ocenianego Metternicha, w którym poza udaną obojętnością nurtowały gwałtowne porywy i gorzkie troski. Siła Bienertha tkwi w jego zdrowych nerwach. Dość długa już jego karyera premierowska jest niczem więcej jak tylko owocem przewagi niczem niezamąconego spokoju nad niepokojem i niestałością ludzi nerwowych.

Od sześciu lat już stoi baron Bienerth niejako w centrum wiru politycznego, był bowiem już ministrem oświaty i ministrem spraw wewnętrznych, zanim nowemu gabinetowi nadał własne nazwisko. Któż zdoła dziś określić zdoła ściślej, jakie właściwie ma on przekonania polityczne a chociażby tylko polityczne skłonności, jak sobie wyobraża w snach swoich przyszłość państwa, którem dano mu rządzić, co sądzi o problemach codziennie pojawiających się na politycznej państwa tego widowni? Nigdy przecie nie był on tłómaczem własnych uczuć, nigdy nic nie zdziałał, coby miało jakieś oryginalne piętno, zawsze zamiast działać — lubi on.. lawirować. Zbliża się on raz do tej, to znów do innej politycznej grupy, lecz z żadną się nie łączy, nie solidaryzuje. Jego mowom brakowało zawsze wyższego, znamiennego polotu, brakowało tego, co płynie z duszy i z własnego pragnienia. Wszystkie one odznaczały się więcej niż spartańską... trzeźwością. Żadna nie sprawiała wrażenia osobistego wyznania, żadna nie porywała ani nawet nie przekonywała i każdy ze słuchających miał tylko to uczucie., że premier mówi, bo coś powiedzieć musi, bo wymaga tego zwyczaj konstytucyjny. Nieraz też wobec tych mów przypomniał się słuchaczom biedny jaki uczeń, który wygłasza wypracowanie nie dlatego, aby uczuwał potrzebę wypowiedzenia swoich myśli, lecz dlatego jedynie, iż zmusza go do tego surowy profesor.

Baron Bienerth jest przytem dzieckiem szczęścia. I to nie tylko dlatego, że w dniu niedzielnym powołany został na kierownika losów Austryi. Szczęśliwy dla niego zbieg okoliczności, pomyślny przypadek wyniósł go na tę wyżynę dzisiejszą, a i dziś te szczęśliwe okoliczności, szczęśliwe naturalnie tylko dla niego, towarzyszą stale jego krokom. Przykre niespodzianki i bolesne ciosy, które tylu jego poprzedników wpędziły przedwcześnie w grób polityczny, jego stale omijają. Niejedno wprawdzie z tego, co uczynić zamierzał, rozbiło się, chybiło celu, w niwecz się obróciło, lecz i te niepowodzenia dla niego osobiście zamieniały się niemal na... sukcesy. Czego dotknął się król Midas, zamieniało się na złoto, wszystko, do czego rękę przyłożył baron Bienerth, przedłużało jego byt premierowski. Dotychczas przynajmniej zawsze się tak działo.

Gdy ten wyjątkowy premier, który przed kilku miesiącami utworzył już trzeci z rzędu swój gabinet, obejmował obecne swoje stanowisko, pierwszą wieścią, jaka się o nim rozeszła po kraju była, iż jest on kuzynem „sławnego“ Schmerlinga. W Austryi, jak się zdaje, budzić się znów zaczyna zainteresowanie dla tradycyi rodzinnych... Jakże dobrze tym, których ojcem był lub jest minister, którzy posiadają wpływową jaką arystokratyczną ciotkę. Taki szczęśliwy śmiertelnik nietylko wybija się wysoko, lecz nadto już z góry liczyć może na bardzo przyjęcie i powitanie. O baronie Schmerlingu w każdym razie to jedno powiedzieć można, że jakkolwiek nie był politykiem we właściwem znaczeniu tego słowa, a już bynajmniej nie mężem wybitnym, był w każdym razie osobistością bynajmniej nie tuzinkową. Natomiast o baronie Bienercie nawet tego powiedzieć nie można. Nie jest on wyciosany z drzewa, które rodzi talenty i charaktery; jest conajwy-

Bazylika wznosiła się na szczycie góry nadorzeżnej. W dali zieleniły się platany i korony kasztanów słodkich. Przez ich konary, w dole, przeglądało białe miasto, rozłożone nad popielato sinem, dalekiem, lekko pomarszczonem morzem Dalmacyi.

Cicho to było, jak może być cicho w samo południe pełni lata, na południu, w porze kwitnięcia róż, przy niebie bez chmurki, bez wiatru, przed portalem wykańczanej bazyliki, położonej za miastem, na wzgórzu, wśród oliwek i platanów, gdy w dali sino-popielate morze lekką linią oddziela się od błękitnego nieba i senne pojedyńcze żagle poruszają się wśród wysp tak wolno, jak wskazówki na zegarze.

Święty Teodor ukazał się w drzwiach portalu i stanął, oślepiony blaskiem słońca. Jego figura sucha, wyciągnięta w czarnych linjach, z bosemi nogami, z aureolą około głowy i szeroko rozwartemi oczyma, wyglądała jak zupełnie coś obcego naturze, jak dziwo nie z tego świata. Dwa młode wróble, spostrzegłszy ją, rozczapierzyły ze strachu ogony i fyrknęły wnajbliższe krzaki.

Święty Teodor zmarszczył brwi i pnścił za nimi kilka mocnych słów gniewu.

Kamienista droga szła stąd w dół, wśród platanów i zarośli, prowadząc ku miastu i morzu. Ś-ty Teodor wybrał ją i począł schodzić pośpiesznie. Sztywne jego, bizantyjskie członki poruszały się tak niezdarnie, że zdawało się, iż Święty poruszał się wraz z deską, na której był malowany.

Droga była najzupełniej pusta. Ś-ty Teodor doszedł bez przeszkody aż do samego dołu. Tu spostrzegł, że jego malarz, Zeno, winowajca, przełazi w dali przez jakiś parkan.

Parkan składał się ze sztachet tylko.

Więc Święty mógł widzieć i widział, jak Zeno, skradając się po kociemu, zbliżał się do niewielkiej, ładnej willi, bardzo mocno zarośniętej przez pnącze różnego rodzaju. Wkrótce zniknął mu z oczu.

Ś-ty Teodor stał bezradny: przełazić przez parkan, czy wrócić się? Coś go ciągnęło — oburzenie i ciekawość. Miał strasznie wytrzeszczone oczy, chociaż wyraz twarzy złym nie był.

Wreszcie cicho, zwróciwszy się bokiem, dzięki cienkości deski, przesunął się między sztachetami i począł ostrożnie zbliżać się do zakrzewionej willi. W słońcu na łące wyglądał bardzo dziwnie, jak strach na wróble, podczas gdy na ścianie, tam, w bazylice w szeregu wszystkich świętych, takich samych jak on, ozdobiły wnętrze świątyni niewątpliwie, gdyby został skończony.

Dróżka, którą szedł, zrobiła parę zakrętów, wreszcie zbliżyła się do jednego ze skrzydeł domu.

Pod domem rosły kwiatki, niedawno widać przez kogoś podlane. Ś-ty Teodor minął jakąś sionkę. Przy drzwiach stało kilka sprzętów gospodarskich. Suszyły się na nich ścierki. Było to widocznie wejście do kuchni.

Ale ani śladu żywej duszy. Ś-ty Teodor postał trochę zdziwiony, niepewny. Gniew go trochę omijał. Wzruszony był widokiem statków, kuchni, dzieżek, które mu przypomniały jego młodość, jego rodzinne strony, tak samo stały tam dzieżki, była kuchnia była jego matka. Tak samo świeciło słońce wśród winnic i tak samo kwitły róże. W bazylikach, mszałach, gdzie go malowano, tego wszystkiego nie było.

I znowu posunął się kilka kroków dalej do samego węgła. Rozpoczynały się kryte szpalery wina, zasypane wewnątrz kółkami słońca, przesianego przez liście.

Nagle usłyszał jakiś szept, czy śmiech w dali. Stanął. Pomiędzy tykami, o kilkanaście kroków, widać było ślepiąco białą ścianę, część bronzowej okiennicy i altanę z róż i wina.

Ś ty Teodor ostrożnie posunął się naprzód, już

żej sumiennie pracującym biurokratą, a przedewszystkiem uległym, aż do braku wszelkiej własnej woli służką... dworu.

* * *

Tak się przedstawia osobistość bar. Bienertha.

A teraz przypatrzmy się jego dziełu.

Grillparzer zaznacza w swoich pamiętnikach, jak boleśnie to odczuł, gdy się dowiedział, iż jeden z wybitnych publicystów, którego prace niezmiernie cenił, nie jest samodzielnym czystym charakterem, lecz marnym, wiecznie intrygującym karyerowiczem. Nie zawsze też dzieła podobne są do ich twórców. Nieraz dobre dzieło przewyższa wartością swoją znacznie tego, z którego rąk wyszło. Przypatrzmy się więc, czy i o dziełach bar. Bienertha tego samego powiedziećby nie można, czy w jego działalności politycznej jednak nie znajdzie się coś, co mogłoby uzyskać nasze uznanie?

Nasamprzód: pod jaką gwiazdą urodził się pierwszy gabinet Bienertha? W świeżej jeszcze pamięci mamy ową noc pamiętną, ową 18-godzinną konferencyę w pałacu ministeryalnym przy Wipplingergasse, Wówczas to dnia 13 listopada r. 1908 ówczesny szef rządu wytężał całą swoją wymowę i swadę, ażeby stworzyć nowy gabinet koalicyjny. Jego poprzednik baron Beck nie poległ w otwartej walce, lecz padł ofiarą niegodziwej intrygi. Lecz jego system parlamentarnych rządów miał być nadal utrzymany. W urzędowej enuncyacyi, którą baron Bienerth ogłosił w pismach półurzędowych po bezowocnym wyniku owej konferencyi, zaznaczono wyraźnie, iż podjął się on powierzonej sobie misyi jedynie w zamiarze utworzenia parlamentarnego gabinetu koalicyjnego. Zadanie to zresztą wyznaczało mu także odręczne pismo cesarza, w którem powiedziano wyraźnie: „Równocześnie polecam panu, ażeby z niezmniejszoną gorliwością starał się o pozyskanie współpracownictwa stronnictw politycznych w rządzie i w ten sposób dążył do utrzymania dotychczasowego systemu“.

A cóż się stało z tą misyą? Parlamentarny gabinet barona Bienertha kurczył się coraz bardziej, aż skurczył się do tego stopnia, iż pozostało w nim zaledwie dwóch czy trzech parlamentarnych ministrów bezparlamentarnego znaczenia. Więc i temu zadaniu sprostać on nie zdołał.

Lecz z takiego zwrotu sprawy nie mogą być zadowoleni nawet ci, którzy są przeciwnikami parlamentarnych rządów i większych korzyści dla państwa spodziewają się po rządach biurokratycznych. Bo i to stopniowe przekształcanie jego gabinetu zaparlamentarnego na urzędniczy — nie było bynajmniej zasługą Bienertha, lecz wyłącznie wytkiem przypadkowego zbiegu okoliczności. Więc i owych kołach odzywają się dziś głosy: Pragnęlibyśmy utrzymania tego kierunku — ale bez barona Bienertha.

Tak otu po każdej stronie zapatrują się na niego i jego rzekome dzieła. *R. Charmatz.*

Demokracya przy pracy.

Ruszyła się nareszcie do pracy i walki polska demokracya naszego kraju. Na zjeździe odbytym w ubiegłą niedzielę we Lwowie utworzono wspólny komitet partyjny i postanowiono zawiązać liczne komitety lokalne, oraz rozpocząć agitacyę w całym kraju. Fakt, że na czele tego komitetu stanęli pp. Jabl, German i Bandrowski uprawnia do nadziei, że praca organizacyjna i agitacyjna nowej tej naczelnej demokratycznej władzy wyborczej nie będzie tylko słomianym ogniem, lecz pasmem roztropnych czynów, które dobre wydadzą owoce.

W odezwie, jaką komitet ten wydał powiedziano: „Polska demokracya — staje do kampanii wyborczej pod hasłem solidarności narodowej i wzmocnienia solidarności Koła polskiego, demokratycznego jego charakteru, oraz wybierania takich kandydatów, których kwalifikacye z jednej strony przyczynią się do usunięcia waśni partyjnych w łonie Koła, z drugiej zaś strony dadzą gwarancyę skutecznej i wydatnej pracy w kwestyach prawodawczych i administracyjnych, któremi zajmuje się parlament, jego komisye i Koło polskie.“

Organizacyę tą i całą jej akcyę witamy ze szczerem zadowoleniem, nawet z radością, jako fakt doniosły w naszem życiu politycznem, jako zadatek lepszej dla kraju przyszłości.

Ze wszystkich stronnictw, które tworzyły ostatnie Koło polskie w Wiedniu, polska demokracya postępowa wyszła z fermentów, które Koło to trapiły i zdyskredytowały z najlepszą sławą, z najczystszemi rękami. W jej łonie nie było korupcyi, nie było gonitwy za tekami ministeryalnemi, nie było wypadku zaprzedawania interesów kraju za zapomogi rządowe lub osobiste i partyjne korzyści. Przedewszystkiem zaś nie miała ona w swojem łonie Paduchów, Wiącków, Szpondrów i innych tym podobnych zakał naszego parlamentaryzmu. Polska demokracya postępowa od początku do końca energicznie i wytrwale stała na straży wszelkich politycznych i ekonomicznych postulatów kraju, do ostatniej chwili z całym naciskiem domagała się kanałów — a jeżeli mimo to postulaty owe nie doznały uwzględnienia, nie jej to wina, bo nie stanowiła większości w Kole. Z drugiej znów strony wszystko, co Koło to osiągnęło — osiągnęło przeważnie dzięki pracy i staraniom demokratycznych posłów w swojem łonie.

O tem niech pamiętają wyborcy przy najbliższych wyborach, niech uprzytomnią sobie dotychczasową tę bolesną bezsilność, w którą wepchnęły Koło inne stronnictwa, i niech sami osądzą, która z grup w tem Kole posłużyła nadal na zaufanie całego kraju.

Tą grupą jest jedynie polska demokracya postępowa.

Zasługuje ona na zaufanie jeszcze i z tego względu, że liczy w swojem gronie cały zastęp doświadczonych parlamentarzystów, przejętych jedynie gorącem pragnieniem pracy dla kraju, a wolnych od wszelkiej politycznej blagi. Jeżeli oni nie zdołali się wybić na kierujące stanowisko w Kole — to przyczyną tego jest jedynie ta smutna okoliczność, iż w Kole tem rej wodziła i panowała nad wszystkiem — wszechpolska blaga, popierana przez konserwatywną reakcyę i chrześciańsko socyalną taktykę nienawiści rasowej. Skutki tej blagi odczuł dotkliwie kraj cały.

Postępowa demokracya polska zasługuje na zaufanie jeszcze i z tego względu, że nie stawia partyjnych swoich interesów ponad interesy ogółu, że nie dąży do poniżenia innych stronnictw i innych zasad, ani do rozbicia solidarności wewnętrznej Koła na korzyść wyłącznie własnych celów, lecz przeciwnie, do skupienia wszystkich sił wszystkich grup dla dobra wspólnej sprawy krajowej i narodowej. Demokracya polska sama oświadcza, że pragnie wzmocnienia wewnętrznej jedności Koła, a tem samem jego siły i znaczenia na zewnątrz, że pragnie dać ogółowi naszemu tylko takich mężów na posłów, którzy dają gwarancyę skutecznej, a wydatnej pracy narodowej.

Dla Paduchów i Wiącków niema miejsca w stronnictwie, które dziś jeszcze kroczy drogą, wskazaną mu przez Smolkę, Romanowicza, Asnyka oraz tylu innych wybitnych szermierzy prawdziwej demokracyi.

Polska demokracya postępowa jest przytem tą grupą polską partyjną, która nie wyklucza nikogo od pracy dla kraju, która nie zna szranek wyznaczonych, nie odmawia żydom prawa do narodowego obywatelstwa, a która i wobec Rusinów, bynajmniej nie zrzekając się ani piędzi naszego historycznego i narodowego stanu posiadania, nie kieruje się dzikim, rozpacznym wszechpolskim egoizmem narodowym.

O tem wszystkiem niech pamiętają wyborcy, niech wszystko to rozważą poważnie i z tego wysnują dalsze konsekwencye. Niech odwrócą się od tych, którzy ich karmili polityczną blagą i szerokim frazesem narodowym, a w Wiedniu zaprzepaszczali dla własnych korzyści najważniejsze nasze interesy, niech odwrócą się od tych, którzy każdej chwili gotowi powiesić te interesy dla względów i łaski dworu z rzekomych konieczności państwowych i niech zwrócą się do stronnictwa, które stojąc silnie na gruncie narodowym, pragnie jedynie jak najpomyślniejszego rozwoju kraju w każdej dziedzinie.

Tem stronnictwem jest demokracya polska postępowa. Kto boleje nad upadkiem znaczenia naszej reprezentacyi w Wiedniu i nad klęskami, jakie zgotowała nam wszechpolska blaga w ostatniej kadencyi parlamentarnej — ten może, ten musi głos swój oddać przy wyborach jedynie na kandydatów polskiej demokracyi. Od zwycięstwa tej partyi naszej zależy wprost los kraju w przyszłości.

Miejmy nadzieję, że: komitet stronnictwa demokratycznego zrozumie dobrze, jaką siłę daje mu czystość jego sztandaru, wyniesiona z ostatniej nużeryi w Wiedniu i że niczego nie zaniedba, ażeby sztandarowi temu zapewnić zwycięstwo na całej linii.

---

z ciekawości tylko, bo gniew go ominął; zachowywał się cicho. Złapać Zenona, wytargać za uszy, skrzyczeć, sfukać — już mu ta myśl wyszła z głowy. Natomiast zaciekawiony był co on tam robić może? Co mu się stało, czemu uciekł i zostawił wszystko to, czem tak niedawno jeszcze zajmował się z zamiłowaniem, malując, rysując układając mozajki!? Tylu świętych namalował i tak pięknie! Każdego inaczej. Ś-ty Teodor wyczekiwał kolei niecierpliwie, myśląc sobie, jak [illegible] na obrazie wyglądać będzie.

Zmarszczył znowu brew, zacisnął pięści. Znowu posunął się kilka kroków. Nagle stanął.

W altanie, z poza zielonej ściany, na ziemi ukazał się kawałek jasno-niebieskiej materyi. Poruszył się i schował się znowu.

— To nie Zeno — pomyślał Święty.

Wytężył słuch. Zdawało mu się, że słyszy jakieś szepty. Posunął się jeszcze trochę naprzód, niewidziany.

Na ławce w altanie, siedziała jasna blondynka, z błękitnemi, jak chaber, oczyma, z włosami nieco roztrzepanemi, różowa, śmiejąca się — *tutta bionda* a więc *tutta bella*. Obok niej Zeno. Oboje co chwila łączyli z sobą usta, jak gołębie dzioby.

Świętemu twarz przeciągnęła się i zczerniała. Zrobiło mu się nieswojo. Patrzył, patrzył, patrzył. Wreszcie wolno, cicho, na palcach, smutny — zwrócił się i począł iść śpiesznie, wśród zapachów umierających róż, blasku słońca i ćwierkania cykad. Przeszedł cicho obok kuchni, przelazł przez parkanik, przeszedł łąkę, przesunął się między sztachetami. Przez całą drogę był zamyślony. Usta miał zaciśnięte. Twarz wyschła jeszcze bardziej.

Droga ku świątyni była pusta. Nawet wróble nie pokazały się tym razem wcale. Ś-ty Teodor przesunął się cichaczem przez błyszczący portal, wsunął się do środka, wszedł po sztagach na rusztowanie i zawisł na gwoździu.

Stał się nietylko suchszy biedniejszy, jak gdyby resztki życia które w nim były, pozostały tam na słońcu, wśród kwitnących róż, w altanie.

A Zeno? Artysta, który z takiem zamiłowaniem malował świętych barwnymi kamykami mozajki?

Zajęty był kochanką.

Sztuka czasami, może stać się zajęciem, które ustępuje na plan dalszy, traci swój czar i znaczenie, nawet dla Ś tego Teodora, gdy mocniej zatętni pełne szczęśliwe życie.

Bo co może najrozkoszniejsza twórczość wobec żywej, pięknej kochanki?

Zeno nie wracał.

Święty wisiał na gwoździu i czekał, aż na niego znowu czas przyjdzie, aż róże kwitnąć przestaną, uschną i zwiędną, kochanka przesyci lub opuści, aż zblednie słońce, zciemnieje morze, odpłyną żagle, kiedy barwne kamyki mozajki i świat, układany z nich na murze, odtworzy żagle białe na pięknem, błękitnem morzu, rozpłomieni zgasłe słońce, rozkaże kwitnąć znowu różom a wśród nich wyczaruje parę tęsknych oczu kochanki, która już świętym przeszkadzać nie będzie.

Sztuka to esencye, wyczarowane, wyciągnięte z ludzi i rzeczy, któremi skrapia się ludzi i rzeczy, życie, gdy stają się one niezbyt... wonne, i niezbyt silne, niezbyt charakterystyczne, niezbyt przyjemne.

Niestety ci, z których się owa esencya wyciska, podobni są niekiedy do owych niewolników, którym za życia wycinano płaty gorącego ciała, aby nimi leczyć bolesne, zastarzałe rany tym, którzy za podobne lekarstwa zapłacić mogli.

Oto dlaczego w napozór akademickiem pytaniu: czem jest sztuka? brzmi czasem źle ukrywany okrzyk bólu.

Paryż.

WIELKANOCNY
DODATEK LITERACKI
do
numeru 16 „Gazety Poniedziałkowej"

pod redakcyą

Bogusława Butrymowicza.

WALT WHITMAN.

PAMIĘCI UKRZYŻOWANEGO.

W jedności z twoim mój duch, bracie umiłowany,
O, niech cię to nie nęka, że wielu wykrzykuje imię twoje, ciebie nie pojąwszy,
Ja-ć nie biorę imienia twego nadaremno, lecz rozumiem ciebie;
I oto spieszę — pełen wesela — druhu mój, by pokłon złożyć tobie, by pozdrowienie słać tym, co z tobą wiecznie bytują, czy żyli przed czy po tobie, czyli żyć będą w przyszłości,
Byśmy wraz społem mozół i trud podjęli, jeden zakon i jedno przekazując dziedzictwo —
My, drobna garść sobie równych, ani od ziemskiej placówki, ani od czasu nie zależnych,
My, jednoczący wszystkie ziemie i sfery, my uznający wszystkie teologie,
My, współczujący, przenikający do jądra rzeczy, my pośrednicy ludzkości,
Którzy kroczymy milcząc wśród gwaru dysput i twierdzeń, nie rzucając kamieniem potępienia ni na dysputujących ni na ich dowody,
Którzy przysłuchujemy się ich krzykom i wrzaskom, którzy dążymy naprzód pod parciem ich kłótni, zawiści i zarzutów;
Natarczywie osaczają nas one, usiłując zamknąć w swem kole, druhu ty mój,
Lecz my wędrujemy, żadną niepowstrzymani zaporą, wolni, poprzez całą ziemię, przebiegać ją będziemy wszerz i wzdłuż, aż stopy nasze wycisną ślad niezatarty w bezmiarze czasu i w epoce każdej,
Aż czasu bezmiar i epokę każdą nasycimy sobą tak, iż męże i niewiasty przyszłej rasy i epoki, staną się żywem świadectwem braterstwa i wzajemnej miłości jako my.

Któż pojmie mą lekcyę w całości.

Któż pojmie mą lekcyę w całości?
Nuże! Dostojna bryło, rzemieślniku, terminatorze, ojcze duchowny i ty bezbożniku,
Głupi i mądry myślicielu, rodziciele i dzieci, kupcze, pomocniku, posługaczu i ty, odbiorco,
Wydawco, autorze, artysto i ty, szkolna młodzi, — zbliżcie się całą gromadą i poczynajcie;
Nie lekcya to — jeno usunięcie zapory na drodze do lekcyi istotnej,
Która otworzy podwoje do następnej, zaś owa do dalszej jeszcze.

Wielkie prawa zyskują swą moc i rozlewają ją samorzutnie,
Jam jest z tej samej rodziny, bowiem druhem im jestem,
Miłuję je jak równy równe, nie zatrzymuję się i nie wybijam pokłonów.

Leżę swobodnie, w sobie zatopion, słucham pięknych opowieści o rzeczach i ich istocie,
Tyle w nich piękna, że sam sobie bodźca dodaję, by się w nie wsłuchiwać.

Nie zdołam wypowiedzieć nikomu, co słyszę — nie zdołam wypowiedzieć tego sobie samemu — to rzeczy zbyt cudowne.

Boć to nie fraszka, ten nasz okrągły, wspaniały glob, toczący się dokładnie po swej koleinie, bez jednego wstrząsu lub wychylenia bodaj na jedną sekundę,
Nie mogę pojąć, że to dzieło sześciu dni, lub choćby nawet dziesięciu tysięcy czy dziesięciu bilionów lat,
Nie mogę pojąć, by to był wytwór planu i budowy część po części, podobnie jak architekt planuje i buduje dom.
Nie mogę pojąć, by lat siedemdziesiąt było kresem żywota męża czy niewiasty,
Ani też, by siedemdziesiąt milionów lat miało być kresem żywota męża czy niewiasty,
Ani też, by liczba lat mogła przerwać istnienie moje lub czyjekolwiek.

Jest-li to cudem, że jestem nieśmiertelny, jak każdy inny?
Wiem, że to istny cud, lecz światło mych oczu jest również cudem, a chwila mego poczęcia w matki żywocie jest cudem takim samym,
I okres dzieciństwa, pełzanie i sen niemowlęcia, przeciąg lat dwojga i zim dwojga, przeznaczonych na naukę mówienia i chodzenia, to wszystko jest cudem takim samym.
I że moja dusza bierze cię tej godziny w bratni uścisk, że się miłujemy wzajemnie, choć oczy nasze siebie wzajem nie oglądały i może nigdy oglądać nie będą, to także cudu kęs.

I to, żem zdolny do takich myśli, jest czemś w rodzaju cudu,
I to, żem zdolny poddać ci te myśli, byś uznał, że są prawdziwe, jest czemś w rodzaju cudu.

I to, że księżyc krąży w okół ziemi i wraz z nią dalszy bieg odbywa, jest cudem takim samym,

I to, że się ta para utrzymuje w równo... wraz ze słońcem i gwiazdami, jest cudem takim samym.

Przełożył *Floryan Sobieniowski.*

FELIKS GWIŻDŻ.

GRAF DE KŁAKOWO KŁAK.

I.

Jeżeli kim, to tym właśnie jednym i jedynym człowiekiem bylimy wszycy naprawdę zachwyceni. Nazywał się Kłak. Ignacy Kłak. Ale postać jego, jego zamaszysty gest, twarz aktora na emeryturze, spojrzenie jakby z niebios — i wiele, wiele innych jeszcze zalet osobistych tego najgenialniejszego w Polsce lenia złożyło się na to, że pewnego razu w kawiarni przy stoliku ktoś zwrócił się nagle do niego i zawołał:

— Te, hrabia!

Kłak najspokojniej w świecie odparł:

— Co jest?

Parsknęliśmy śmiechem. Odtąd był hrabią. Ponieważ jednak było w zwyczaju Kłaka zachwycać się arystokracyą berlińską ze względu na jej zachcianki helleńskie, przezwaliśmy go „grafem" — grafem nie wiem już dlaczego, de Kłakowo-Kłak — tak brzmiało w całej rozciągłości jego imponujące nazwisko.

Graf de Kłakowo był przez pewien czas senzacyą i postrachem stolicy. Wszyscy i wszystkie pragnęły go poznać, a zarazem wszyscy usiłowali unikać go, gdyż graf raz na zawsze postanowił nie mieć ani grosza przy duszy, a zarazem żyć na odpowiedniej tytułowi stopie. Pełno go było wszędzie. W restauracyach i kawiarniach — we Lwowie, Warszawie i Krakowie — no i naturalnie w Zakopanem. W lecie otulała jego bujną postać rozwichrzona peleryna, w zimie zaś futro, futro wprost jaśnie wielmożne. Dlaczego je wykupił z lombardu, nikt nie mógł dociec. Chyba dla tego, że już piętnasty rok studyował na uniwersytecie „ścisłą" filozofię. Filozofom zaś — jak wiadomo — przydarzają się rzeczy, o których się filozofom nie śniło.

W tem to frapującem futrze przybył graf de Kłakowo zimą roku 191... do Zakopanego, aby tu spędzić święta Bożego Narodzenia. Za nim nadciągnął, jak klucz żórawi, cały zastęp łazików kawiarnianych — poeciąt, medyków i różnych agitatorów, żyjących bez przerwy i bez pardonu wszystkiemi sprawami Europy. Ludzie ci rozłożyli się po hotelikach i pokoikach, jeden graf de Kłakowo-Kłak mieszkania nie szukał i nie wynajmował, aby się tradycyom swoim nie sprzeciwić. Każdą noc bowiem, która zaczynała się dlań zwykle o świcie, spędzał u kogo innego, w innem otoczeniu, na innej kanapie, z inną... czkawką.

W Zakopanem panował właśnie istny szał narciarski. Zaraz na drugi dzień po przybyciu, graf de Kłakowo poszedł na Goryczkową, aby się oddać, choćby w roli widza rozkoszom porywającego sportu. A na trzeci dzień Kłak zjawił się pierwszy na Goryczkowej i to jako narciarz. Niewiadomo, co go tak żywiołowo pchnęło do sportu: czy sama idealna rozkosz jazdy na nartach, czy też... strój narciarski. Zauważyć bowiem należy, iż ubrany był po narciarsku od *a* do *z*, tymczasem narty same były nieco nadłupane, o rzemykach jakby z gęsiej skórki. W rezultacie, gdy inni narciarze i narciarki nadeszły, Kłak uprosił kogoś, aby go wtajemniczył w arkana sportu zimowego. Po pewnym czasie wygramolił się, nie za wysoko jednak, i spróbował zjechać. Jechał ostrożnie i powoli, krzycząc przeraźliwie „na bok!". Wreszcie najechał na jakiś bardzo skromny smreczek, poplątał się koło niego i runął jak długi. Rozległ się homeryczny śmiech. Same narty wyszczerzyły swe podeszwy. Graf nie mógł wstać. Nadbiegło przecież „pogotowie", dźwignęło go i odstawiło na drogę.

Podumawszy co nieco, Kłak zdecydował się podziwiać przez jakie pięć minut „boskie uroki zimy tatrzańskiej". Spojrzał więc w górę, potem na wszystkie kochane cztery strony świata, jeszcze raz w górę, potem na swe buciki narciarskie, wreszcie naplnł, zapalił papierosa, zarzucił narty na ramię i tak ruszył ku Zakopanemu, marząc o cieple kawiarni i zapachu czarnej kawy.

Co pewien czas urozmaicał sobie ten „odwrót z Goryczkowej" gwizdaniem z „Trójki" lub wytworną deklamacyą dwuwiersza z „Ostrożnej cnoty" M. Waleriusa Marcyalisa:

„Nie kto łatwą legł śmiercią, wygrał u mnie sprawę:
Tego wolę, co życiem zarabia na sławę".

II.

Przyszedłszy do kawiarni graf de Kłakowo rzucił do stu dyabłów narty, rozwalił się wygodnie na kanapie, wyjął z jakiejś bardzo misternej kieszeni angielską fajeczkę (a la Sherlock Holmes), nałożył tytoniu i zakurzył. Czuł się znakomicie. Błękitne, figlarne kłęboszki dymu muskały jego bujną czuprynę, jak wymarzone uśmiechy mile kapryśnych kobiet. Widać było, że w tej chwili nie tylko nie miał sobie nic do zarzucenia, ale z pewnością w duchu gratulował sobie, że jest tem, czem jest.

Podano mu wreszcie wiaderko czarnej kawy. Kłak pochylił się nad niem i z wyrafinowaną rozkoszą zachłysnął się najpierw czarującym oparem niepospolitego napoju. Zaczem wrzucił kawałek cukru i z artystyczną precyzyą zaczął smakować łyżeczkę za łyżeczką. Wreszcie połknął jeden i drugi haust. Ogrzał się, głowę wsparł na oparciu kanapy i poddał się kawiarnianemu rozleniwieniu. Po chwili sięgnął

RYSZARD LEON.

Z Cyklu „Chwile“.

Łzy.

Skąd płyną nie wiem, ale je widzę wciąż przed sobą.. Nie widzę oczu, z których płyną, nie znam twarzy po której cieką, nie wiem, jaka je boleść oceanom duszy wydarła. A przecież widzę je wiecznie przed sobą — raz przeczyste jak szlifowane brylanty, to mętne, jak wielkie krople deszczu, zmieszane z ziemią, to purpurowe jak krew, palące jak ogień...

Dwie łzy, dwie ogromne łzy...

Krok w krok pełzają za mną, wpatrują się we mnie, płaczą nademną jakimś bezbrzeżnym, nieznanym bolem —

Wpatrują się we mnie uparcie — z najbielszego brylantu ciemnieją w mętne krople, z mętnych kropel zmieniają się w krew... żywą, palącą jak ogień. I nie mogę oderwać od nich wzroku, ni zamknąć przed niemi mej duszy, ni kazać im przestać płakać i wołać niemą, straszliwą boleścią: „O t r z y j n a s!“

A to nieme, rozpaczne błaganie silniejsze jest od rozdzierania szat, załamywania rąk i wyrywania włosów. Silniejsze jest od rzucania się na ziemię i darcia nagich piersi i wycia poszarpanych płuc — to wieczne, przebolesne błaganie: „O t r z y j n a s!“

Nie widziałem nigdy takiej rozpaczy, jaka szaleje w tych dwóch ogromnych, cichych łzach...

Tak patrzą krople, wydarte oceanowi i nie mające już nigdy doń powrócić.

Samotne, tułacze, bezdennie smutne krople.... „O t r z y j n a s!“

A ja nie mam chusty, którejby włókna dość miękkiemi były na przyjęcie tych świętych rozpaczliwych łez, — któreby nie były jak dłoń świętokradzka, kładąca się ciężko i brutalnie na cudowny obraz — — —

choć chodzą za mną krok w krok i wświecają się w moje źrenice i ogień ich rzuca się snopem palących łyskawic w mój mózg...

Jakgdyby tylko odemnie zależało ukrócić im mękę, otrzeć je z błękitnawej, powietrznianej szyby, na której malują się przedemną, z którą za mną chodzą nieme i coraz rozpaczliwiej smutne —

Dwie łzy...!

Nie wiem, z jakich oczu płyną, nie znam twarzy, po której cieką, ni wiem, jaka boleść oceanu je duszy wydarła...

Ani nie mam chusty, którąby dość miękką była, godną przyjęcia tych świętych, beznadziejnych łez... tych dwóch ogromnych, nieznanych łez...

Tęsknota.

Przyszła do mnie z otwartemi do uścisku ramiony, a w jej źrenicach grało morze, wielkie, bezmierne morze.

Byłem samotny, kiedy przyszła jak drzewo w zwalonym lesie, które jedyne nie legło, choć koronę ma wyszczerbioną wichrami, a korę językami piorunów porytą.

Byłem sam, więc przyjąłem ją z radością i zapytałem, poco przyszła?

Nie odrzekła mi ani słowa, jeno stanęła kołomnie z otwartemi do uścisku ramiony i patrzała we mnie źrenicami, w których wrzało morze — wielkie, bezmierne morze...

I powtórnie zapytałem, czemu przyszła, a serce mi biło gwałtownie i boleśnie, bom myślał, iż nie do mnie przyszła i odejdzie.

I znowu nie odpowiedziała, tylko ramiona jej zwarły się kołem nad mą głową i począłem tonąć w jej źrenicach —

Poznałem, żem to ja był, do którego przyszła.

I że nie opuści mnie już i przejdzie ze mną przez życie i towarzyszyć mi będzie poza życie.

Opasała ramiony szyję mą, utopiła w źrenicach duszę mą — królestwem jej jestem całkowitem i niepodzielnem...

I ciągle jest przy mnie...

Błękitnym drżącym promieniem zaczepia o moje serce i nim jak wędką ciągnie je, ciągnie ku sobie, a ono bez oporu skłania się ku niej — jak w rozhukanem morzu powietrza rozbity, zmęczony ptak.

A za sercem pochyla się dusza, — gołąb, który o twardy uderzył gzems i krwią śnieżne zfarbował pióra, — wszechświat mgławianych kręgów, wciśnięte w purpurową perłę bolu.

A za sercem lecą zmysły, — dzikie rozkiełznane huragany, czarne tabuny kroków, żądnych ciała...

lecą teraz ciche i pokorne ku błękitnym drżącym promykom, rzuconym memu sercu — przez N i ą...

Każda cząstka mej istoty słania się ku niej, jednostajnym, głębokim skłonem kłosów w stronę bladorubinowej melancholii zorzy wieczornej...

I zagadkowym uśmiechem na wązkich, cudownych ustach, z niezbadaną oceanową tajemnicą w bezdennych głębiach oczu stoi przy mnie liliowa pani, Tęsknota.

I kręgiem przejrzystych, jak białe rozsłonecznione szkło, ramion owiła mi głowę, w której zgasło, zamarło nagle wszystko:

parę wątłych kwiatów dziecinnych radości, krótkotrwały młodzieńczy sen i cały szumiący, ryczący bór myśli, wspomnień ech, z których każde było piorunem, młotem — tygrysem!...

Teraz wszystko zamilkło — zamarło —

Teraz jakiś cichy pozaletejski świat zaległ mą głowę, ogarnął mózg szarą, subtelną, sprzędzioną z tajemniczych włókien tkaniną —

Teraz nie obracam oczu poza siebie, by iskier szukać w wypalonem ognisku, by błądzić po własnych zgliszczach w czarną, bezgwiezdną noc...

Tylko w bezbrzeżną patrzę dal i rwie mnie w tamtą stronę, pędzi, unosi, delikatna i miękka, a olbrzymia i nieodparta moc — nowy żywioł, który się stworzył we mnie, — nowa wiara i nadzieja jakiejś ogromnej wiecznej miłości, która ma przyjść, przyjść musi, by mnie wziąć i oddać temu, z czegom wyszedł —

Przesmutnej Wielkiej Matce, która stoi nad urwiskiem światów,

ukryła lice w dłonie archanielskie i rozpuściła wokrąg strugi słonecznych włosów,

by się skarżyły, jak pajęcze, szczerozłote struny cudownych harf:

Pieśnią nad pieśnie — —

Teraz ołtarzem tylko jestem, na którym Tęsknota liliowe, bezcielesne rozkłada członki, przed którym w lazurowym krysztale goreje Wieczna Lampa jej źrenic bezdennych, — —

na którym wśród niezmiernej ciszy niebios i ziemi spełnia się ofiarne P r z e m i e n i e n i e...

I nie pytam już, poco przyszła z morzem błękitu w źrenicach, z otwartemi do uścisku ramiony.

FAUSTYN RUBIŃSKI.

Pokój światu!

Czy czytaliście, szanowni obywatele, książkę Ludwika Couperusa „Władca pokoju“? Prawdopodobnie nie, a więc posłuchajcie krótkiej gawędy na jej temat.

„Pokój światu!“ Oto marzenie Otomara, młodego cesarza Liparyi, zadanie jego rządów — cel życia. Trzeba dać innym monarchom i narodom przykład, wytknąć drogę: więc zwołać pokojowy kongres, a wszystko pójdzie jak z płatka. Sam Otomar, sam władca – rzecz niesłychana – przemówi na kongresie, wykaże błogosławione skutki, szczęście narodu, ludów, świata!... Przyjdą zawikłania — od czegoż sąd rozjemczy? Sąd godzi jednostki i wymierza im sprawiedliwość, dlaczego nie ma być ustawy dla całych państw, trybunału dla mocarstw, w którymby zasiadali i wyrokowali władcy i wysokie ciała rządowe? Niech już raz przepadnie krwawy upiór: wojna, której widmo czerwoną płachtą przesłania słońce, świecące nad całą ludzkością, wynajduje dalekonośne armaty, szybkostrzelne karabiny, straszliwe materye wybuchowe, a z żył milionów, z żył wyprężonych od trudu aż do pęknięcia, wyciska ostatki potu, resztki sił. Tak roi Otomar, Liparyi cesarz młody i wierzy w swoje marzenia i znów nie wierzy, choć wierzyć chce, gwoli ludzkości całej, gwoli ukochanego kraju, gwoli maleńkiego jeszcze, a już niemal dogorywającego syna... Więc gwoli siebie samego.

Kongres przychodzi do skutku. Szpalerami, utworzonymi ze świetnych mundurów wojskowych, złocistych uniformów urzędniczych, fraków, tualet i zbitej masy tłumów, wśród strzałów armatnich wchodzi do kongresowej sali Ateneum gość nie z tego świata błędny banita, tułacz międzyplanetarny: P o k ó j. Patrzy i słucha. Przepych dookoła i blask: brylanty i ordery, białe i błękitne atłasowe płaszcze, imperator Otomar na tronie — setki mów, miliony słów. Upajano się potęgą, dostojeństwy, skrzeniem klejnotów, połyskiwaniem orderów, wymową, podziwem wzajemnym. O pokoju mówiły krasomowne wargi, dla pokoju nie było miejsca w sercach ni w duszach. Wyszedł więc niewidzialny wędrowiec chyłkiem z pośród świetnego zgromadzenia, z rozentuzyazmowanej sali, wyszedł aby już nigdy nie powrócić, a melancholijny uśmiech przepełznął białym wężem po smutnem boskiem obliczu.

Kongres pokojowy się skończył, nie dając pokoju ni ludzkości ni narodowi ni samemu władcy Lipary. Ani jedno więzienie nie otworzyło swoich bram, ani jeden żołnierz nie wypuścił karabinu z rąk, ani jeden promyk otuchy nie spłynął do zagorzałych męką serc. Wybuchły znowu rozruchy gorsze niż przedtem, niż kiedykolwiek: zagrzmiały bomby, zachrzęściały zamki u giwerów, fale zdziczałej czerni rozlały się po ulicach, rozpłonęły dachy pałaców gorącem kwieciem czerwonej zemsty. Otomar, władca pokoju, oblężony w Imperyalu przez rozszalałe tłumy, słyszy poryk ludzkiego morza i gdyby piorun, wpadający uszyma w głąb duszy: jęk, wołanie, przekleństwo:

„Pokoju! Pokoju! Pokoju!“

I wtedy obaczył u stóp swych przepaść bez dna... Pokój światu!“ Utopia bardziej utopijna niż wszystkie utopie społeczno-ekonomiczne i — techniczne: wyspy szczęśliwe miasta, kryte, dachami zbudowanie żywego człowieka, skrzydła latawcowe u ramion, podróż na Marsa (w dniach 5-ciu), automaty, zastępujące mózgi i t. p. Utopia taka sama, jak owa druga: „jeden pasterz i jedna trzoda“, lub „miłuj bliź-

---

do kieszeni i wyjął broszurkę p. t. „Narty i jazda na nartach“. Przerzucał szybko kartkę za kartką, zatrzymywał wzrok jedynie na ilustracyach, a gdy dobiegł końca, powtórzył tę historyę jeszcze raz, poczem broszurkę zamknął i rzucił ją na stół przed siebie.

— Ostatecznie — rozmyślał — niema tak wielkiej różnicy między teoryą a praktyką. Tak samo można się zmęczyć jazdą na nartach, jak i czytaniem o nich broszury.

Machnął odruchowo ręką i zawołał: „płacić!“. Pan Stefan, nasz nieoceniony płatniczy, śmiał się już z daleka z tego dowcipu. Okazało się przecież, że Kłak nie zawsze kpi. Centami i halerzami wyliczył się z panem Stefanem co do joty.

I już skierował się ku wyjściu, gdy drzwi kawiarni otwarły się nagle z łoskotem, a do środka wpadł jak wiatr halny pewien młody aferzysta, przed którym nic się już chyba nie ukryje na świecie.

— Kłak! Na miłość boską, pędź!

— Co się stało?

— Zastrzelił się Skórski.

— Spodziewałem się tego — odrzekł spokojnie graf de Kłakowo Kłak. Byłem prawie pewny, że że tu po to przyjechał. Chodź ze mną, pójdziemy tam razem, zwrócił się do upojonego senzacyą chłopaczka.

— Nie! chciałem ci tylko powiedzieć... muszę dalej, innym... — i chłopaczek, jak to mówią, zwiał.

W kawiarni powstało lekkie zamieszanie. Robak (pies) zaczął myrdać ogonkiem, pan jego (psa, nie samego ogonka) wyjął z ust papierosa, jakaś pani przestała na chwilę wycierać nos. Pan Stefan troszeczkę zdębiał, a Staś, jego pomocnik, na poczekanin zrobił ze swych ust coś w rodzaju smoczej jamy. Jeden jedyny graf de Kłakowo-Kłak utrzymał się zarówno zewnętrznie jak wewnętrznie na wysokim poziomie niezachwianej równowagi.

Willa, w której mieszkał Skórski, była niedaleko od kawiarni. Kłak szedł ku niej z początku krokiem zwyczajnym, powolnym, nie zdradzającym żadnego zdenerwowania. Nagle stanął. Momentalnie pochylił głowę, wywołał na twarz (twarz Cezara, Napoleona, czy aktora na emeryturze) dziwne, starcze zmarszczki, oczy mu zaszły mgłą, zachwiał się. Rozglądnął się dokoła i ruszył naprzód. Za nim i przed nim błąkali się ludzie, próżnujący umiejętnie i nieumiejętnie, jednem słowem goście, lecz goście nieznajomi.

Pomimo to, postarzała błyskawicznie twarz grafa wcale nie miała zamiaru odmłodnieć, postać jego pogięła się, poprostu miało się wrażenie, że ulicą idzie uosobienie zakatarzonego nieszczęścia. Kłak najlepiej wiedział, jak w tej smutnej chwili wygląda. To też powoli zaczęło go ogarniać szczere, tkliwe uczucie litości nad samym sobą. W oczach zakręciły mu się łzy. Szedł, chwiał się, przystawał i medytował.

W gruncie rzeczy nie zdawał sobie jasno sprawy, poco tam idzie. Zobaczyć ranę na łbie, w okolicy serca, czy gdzieindziej — toż nie nowość dla Kłaka. „Widział ich już tyle...“ Ale... ale... przyjaciel, przyjaciel — prawda! I otóż właśnie przyjaciel. No tak... Palnął sobie w łeb. Dlaczego? dlaczego? Wyżył się, nie chciała go kobieta? Jeżeli się wyżył, to pocóż mu kobieta? Jeżeli zaś myślał o kobiecie, to pocóż się wyżył? Jednem słowem — przyjaciel!... Pewnie biedaczysko sam, opuszczony, zaniedbany...

Graf de Kłakowo rozczulał się coraz rzewniej. Wszedł wreszcie do willi, przezwanej bardzo przyjemnie „Radostką“; co prawda, ze wszystkich jej okien wiało obecnie przerażeniem. Na schodach wyminął się z lekarzem, który „przyszedł już tylko po to, aby skonstatować śmierć“. Powoli wydrapał się Kłak na piętro. Tam, w małym, miłym pokoiku zastał właścicielkę willi i kilka mało znanych sobie osób. Na otomanie leżał młody, przedziwnie piękny mężczyzna trup. Usta miał nieco rozchylone, oczy przymknięte. Ręce złożone na piersi. Ubrany bardzo elegancko. Kłak pokłonił się samobójcy z głębokim szacunkiem. Zwróciło to uwagę obecnych, zaszeleściały szepty. Kłak stał tymczasem niewzruszenie na jednem miejscu, w końcu zwrócił się do gospodyni, dał jej adres rodziny samobójcy, skłonił mu się ponownie i wyszedł. Szedł zaś poważnie, spokojnie i chłodno.

— No... teraz będzie stypa — pomyślał, gdy na dole zamykał za sobą ostatnie drzwi.

W tej chwili ktoś go trącił. Do willi pragnęła wejść młoda, ubrana czarno, niezwykłej urody kobieta. Czarny kapelusz z ogromnem, fantastycznie ułożonem rondem, z pióropuszem barwy mgły jesiennej, zdobił posępną, śniadą jej twarz o głębokich, czarnych płonących oczach. Graf de Kłakowo spojrzał na nią. I w tej chwili zapomniał kim jest. Stał się momentalnie zwykłym, zwyczajnym Kłakiem z pod Jasła, czy skąd tam. Laska wypadła mu z ręki, nie zauważył tego. Zapatrzył się w oczy kobiety. Spojrzał na jej usta, usta szalone, wołające, pełne niezgarniętej rozkoszy i nad wyraz słodkiego bólu. Chcąc ominąć go, nieznajoma przegięła się tak dziwnie, że wydała się w tej chwili wężem kuszącym, czarującym, wołającym w przepaść miłości i śmierci.

— To pani... — wyszeptał mimowoli.

— Ja... ja... — odrzekła nieznajoma prawie obłędnie, szarpnęła silnie drzwiami i weszła do willi.

Kłak stał oniemiały w miejscu dobrych pięć minut.

III.

Pogrzeb Skórskiego odbył się trzeciego dnia rano. Wieczorem tegoż dnia miała się odbyć koleżeńska stypa. Kłaka ogarnął istny szał pijacki już od samego

niego“ — wszystkie wirujące ponad ziemią, gdyby idealne bryły niebieskie, ku którym nie prowadzi żadna droga, chyba przez wrota śmierci. Bo, naprzód musiałoby nie być takich następców tronu jak książe Karlskrony i takich kokot jak Wiera Zanti, ni takich dzikich bestyi jak marszałek Mena-Doni, musiałoby nie być całej menażeryi i całego cyrku naokoło władców. I władcy musieliby przestać „władać!“ Powinnaby zniknąć najpierw obecna maszynerya społeczna, bezkształcąca i plugawiąca ducha w imię wszystkich obecnych świętych, w imię polityki państwowej, polityki socyalnej, polityki krwi i teroru... polityki jednego niezmiernego, krwawego głupstwa. I powinien nareszcie **stać się** człowiek — poddany, stróż, dostojnik i imperator swojego człowieczeństwa... Inaczej, wieczna, wieczna przepaść bez dna“, pożerająca zarówno idealnych Otomarów, jak i społecznych Malenów, zarówno śpiewaczki, prostytutki, jak i anielskie królowe ze złamanem sercem...

Inaczej wielka komitragedya i ból największy i nieśmiertelna, jak długo głupstwo żywie, ironia... Pokój światu!

JAN WARSKI.

RESZTKI OLIMPU.

Odziani w długie, purpurowe togi,
siedzą z powagą olimpijską bogi,
podnosząc sztywnie długie wyschłe szyje
nad falą czasu, która w tron ich bije.
Godność i spokój! W żyłach krew błękitna
i myśl pod czaszką ciasna, więc ambitna,
oko wpatrzone wstecz o lat tysiące,
błądzi po jakiejś arkadyjskiej łące
i śledzi dawno rozprószone cienie
i zbiera dawno wygasłe promienie...

Na tronie pychy, za przesądów szańce
kryjąc się, siedzą zgrzybiali wybrańce
i pomarszczoną, nieruchomą [illegible]
[illegible] biały, konają i... marzą!
Marzą, że jeszcze ich nad światem władza
ujarzmia ludy i w stany rozgradza
i czyniąc według dobroci krwi dobór,
hordami wpędza do kastowych obór, —
że dłoń ich na państw położona szali,
które chce — wznosi, które chce — w proch wali,
bo tuż... tuż idą po cezarów tropie
pułki pancerne i żelazne kopie,
by roznieść w krwawy puch piersi zuchwałe,
któreby jękły: „Skradliście swą chwałę!“ —

Marzą, że jeszcze na narodów tętnie
trzymają stopy i próbują skrzętnie,
pilnują bacznie, by liczba uderzeń
nie przeszła cyfry normalnej ich mierzeń —
że gdy gorączka wstrząśnie ciemną tłuszczą,
jak dawniej żyły przetną, krwi jej puszczą
balwierze pańscy, oprawców zajadła
ćma, zbrojna w ostre, potworne puszczadła, —
że, co pod nimi, to czerń, członków mrowie,
mające służyć im tylko — swej głowie.

Marzą, podnosząc ślepy wzrok nad gwiazdy,
imperatorów tryumfalne wjazdy,
na złotym lwami zaprzęgniętym wozie,
w zdobyte brony miast, we krwi i grozie.
Laur wokół skroni, u ramion purpura,
dokoła skrzydeł rozwianych wichura:
potęga! sława! moc! majestat! łupy!
na przedzie jeńców na śmierć gnane kupy:
fala, wydarta morzu wolności, drgająca
na skale, która je szarpie roztrąca...

Marzą Olimpu wyrzeźbione sale,
ambrozyę w rzniętym rozlśnioną kryształe,
nektar, co w sennych ametystów głębi
nieśmiertelnością pieni się i kłębi
i w żyły bogów krew błękitną wlewa.
Szumią im do snu heraldyczne drzewa;
melodyi dawno przegranych słowiki
zstrząsają starej, zaklętej muzyki
dźwięki z bezlistnych uschniętych konarów
na głowy, piersi i serca cezarów.

Więc śpią i marzą na Olimpu łomie
o swej potęgi i chwały ogromie,
piorunach, które ze swej boskiej arki
cisną na harde i oporne karki, —
o ludach, które pół-dzikie, pół krwawe,
na klęczkach pełzną ku nim — **Cezar ave!**

Siedzą szkielety w spłowiałej purpurze,
straszni starością, która na ich skórze,
kładąc się zwolna, jak śmiertelny kares
wypala głuche **mane... tekel... fares.**

Nie czują, ani nie widzą, nie słyszą...
Uszy zamknęli i przymknęli oczy,
choć fala czasu olimpijską ciszą
mrących cezarów z porykiem się toczy;
o stopy tronów zmurszałych łbem wali
i wstrząsa dawno wyludnione chramy
i szturmem krwawo ociekłych korali
przez pół rozrywa zapory i tamy.

Cezary, zbudźcie się! Cezary wstańcie!
Słoneczny rumak oparł swe kopyta
na waszych koron fałszywym brylancie
i w wściekłym gniewie rży, parska i zgrzyta.
Z żyznej, krwią wieków przesiąkniętej miazgi
hymn lwi się wydarł i rozgrzmiał po puszczy
i w pierś wam bereł strzaskanych wparł drzazgi
i w twarz wam rzucił proch laurów i bluszczy!

Nie słyszą — milczą... owinięci w togi,
przeżytki wieków, strupieszałe bogi,
ród z przetrawioną krwią, bezsilny, karli —
dziś — jeszcze żywi, jutro — już umarli.

Jutro, co Ciemność, Gwałt i Przemoc sprzęgły
rozerwie Światłość. Prawicą burzącą
uderzy w Olimp, aż się stare węgły
i bogi stare w pył wieków roztrącą...
I minie świata bańba, jak zamierzchłej
przeszłości władca — morderca-bóg — Ares — —
Nad ruinami, z których widma pierzchły,
błyszczą trzy straszne gwiazdy — **mane, tekel,**
[**fares...**

NA MARGINESIE „LEGENDY TATR“.

MOTYWY DO ROZSNUCIA.

„Wieki przejńdom — rzekł Gadeja — zakiela się taki najdzie, co on to światu opowie:
Jaki Janosik bėł — i jak się skońcėł“.

Wieki istotnie przeszły. Aż znalazł się nareszcie ten, który to światu opowiedział. Przyszedł Tetmajer i stworzył „Legendę Tatr“.

Nie mam dziś zamiaru pisać t. zw. recenzyi, ani tem mniej krytyki najnowszej książki Tetmajera. Pragnę jeno wypowiedzieć szereg myśli, które mi się nasunęły w czasie kilkakrotnego jej odczytywania.

Przyznać się muszę, że uważam „Janosika Nędzę Litmanowskiego“ za szczyt i koronę twórczości autora „Skalnego Podhala“. Ktokolwiek i z jakichkolwiek motywów śledził tę twórczość, ten jasno winien czuć i widzieć, że w tym właśnie kierunku weźmie ona z konieczności najwyższy lot.

I oto stajemy dziś wobec prawego dzieła sztuki które z jednej strony jest najpełniejszym wyrazem uczuciowego stosunku Tetmajera do Tatr, z drugiej strony — co niemniej ważne — jest najczystszym i najszczerszym obrazem jego człowieczej doli. Inaczej być nie może. „Artysta musi być swojem własnem dziełem“.

Stąd też po wczytaniu się, po przeżyciu tej książki, jasnem się staje, dlaczego na człowieka, który wyśpiewał najszczytniejszy hymn ku czci swobody — jako takiej — dlaczego schodziły nań chwile, w których z całą szczerością mówił:

„Rozpacz i melancholia, smutek, zniechęcenie,
Są treścią duszy mojej...“.

On bowiem, który tak dawno wyznał przed sobą i światem, że Tatry kocha do szaleństwa, do zapamiętania się —

On, który czuł, że bez nich niema dlań życia, że zrośnięty jest z niemi, jak dziecko z łonem matki —

On, który tak dawno, dawno pojął, że Tatry, to nietylko „skalne garby i rumowiska, zastygłe w martwocie“, lecz że tam kryje się „jakiś olbrzymi czar, coś niewypowiedzianie cudownego“ —

On, który jako dziecko pełną piersią chłonął w siebie ten czar i wzrastał w czystej atmosferze cudowności, gdzie

„Dzisiejsze dziwy dziwami nie były,
Grały widomie niewidome siły
I pilnowały człowieka jak dziecka“,

On, któremu danem jeszcze było widzieć i poznać szczątki dwóch heroicznych światów w postaciach ostatnich żołnierzy polskich i kończących się „starodawnych chłopów“ na Podhalu, światów tak sobie bliskich i tak dziwnie się rozumiejących —

On, któremu równocześnie los kazał patrzeć na poczwarne formy i kształty życia, wytwarzające się na gruzach onych ginących światów. —

On, którego [illegible]eńcze czoło owiało tchnienie rzeczywistej wielkości i niefałszowanego bohaterstwa,

On równie szybko posiąść musiał świadomość, która się streściła w męskiem, a bolesnem wyznaniu: „Ja już z inną duszą urodziłem się pod temi górami“.

Zaś los zrządził, że dusza ta od pierwszych momentów rozeznania pojęła, iż jeno te góry właśnie może pokochać wielką, czystą, „jedyną“ miłością w której znajdzie i zdobędzie siebie samą, wolną od owej „inności“, oczyszczoną z brudu i mętów życia.

Gdyż życie nie próżnowało; chwyciło ono skwapliwie w swój sturamienny uścisk bujną, od nadmiaru sił kipiącą, młodą duszę, pojąc ją haszyszem swych ułud i ponęt. Zaczem poczęła się bolesna gonitwa duszy za samą sobą. Cała twórczość Tetmajera jest tej gonitwy i wewnętrznego zmagania się — odbiciem. Nie tu miejsce na odtwarzanie obrazu tej walki, toczonej z obu stron z zawziętością i zaciekłością boju o śmierć i życie, a zakończonej tryumfem miłości, w której czystym płomieniu, dusza znalazła swoją odwieczną ojczyznę.

rana. Od pogrzebu siedział cały dzień w kawiarni, zmieniał co chwila towarzystwo, łaził od jednego stolika do drugiego, gestykulował, gadał, pił. Pił wyłącznie wódkę. Inne trunki nie cieszyły się jego względami. Ale właściwa, gremialna stypa zaczęła się dopiero koło godziny dwunastej w nocy. O samobójcy nie mówiono nic, wiele natomiast rozprawiano o wieczności duszy. W przedmiocie tym powzięli żałobni pijacy zdanie, iż właściwie na dwoje babka wróżyła. I inne palące kwestye doczekały się również podobnego rozwiązania.

Koło godziny trzeciej czarowna dysputa przemieniła się w jakiś młyn dyabelski. Każdy mełł z młodzieńczym zapałem swoje bolączki na tak tragiczną mąkę, że można było zrywać boki ze śmiechu. Wreszcie nadszedł moment, który wieczorowi nadał charakteru zgoła nieoczekiwanego. Graf de Kłakowo rzucił się mianowicie pod stół i wyciągnął stamtąd kalosz panny Niny.

— Panowie! — zawołał. — Oto są i niewiasty między nami. Wychylmy ich zdrowie. Jako urodzeni błędni rycerze wieku dwudziestego musimy tę sprawę załatwić po rycersku. Nasi zabawni przodkowie pili zdrowie białogłów ze złotych pantofelków. My dostosujemy się do ducha czasu i wychylimy zdrowie pań z kalosza miłościwie spoczywającej na nas panny Niny. Będzie to i po rycersku i symbolicznie!

To rzekły nalał wódki do kalosza i wypił W ślad zanim poszedł Jaś Zasławski, bardzo zdolny erotoman przytem medyk. Inni towarzysze jakoś zgrabnie usnęli się od tego rycerskiego wyrazu czci dla płci pięknej. Panie zanosiły się ze śmiechu. Graf de Kłakowo nie siedział już, lecz gonił wkółko koło stołu, popijał, rzucał jakieś ogromnie ważne uwagi i sam ze sobą rozprawiał o ich doniosłości.

Wyrwała się wreszcie i piosenka z jednej młodzieńczej piersi, podchwyciły ją w lot drugie i trzecie. Zaczęliśmy śpiewać. Co i jak tam śpiewano, Bóg jeden spamiętał. Największem uznaniem grafa de Kłakowo cieszyły się piosenki góralskie. Szczególnie:

„Bijom sie cygani na dolinie —
bijom sie cyganie na dolinie;
nie bijcie sie,
pogódźcie się —
mo cyganka corne ocka,
podzielcie sie!“

Ryczał tę śpiewkę w niebogłosy i wodził się z nią po całej sali.

— Panowie! — mówił w przerwach między jedną a drugą śpiewką — pieśń ludowa działa, jak zdrowa, młoda, piękna, o czarnych oczach kobieta. Porywa nas, ponosi, w zamęt rozkoszy rzuca. Gazda! — zwrócił się nagle do stojącego koło drzwi furmana — za wasze zdrowie! Gazda, dajcie pyska!

I popędził do gazdy, pił z nim i całował się do serca.

Dzień zbliżał się powoli. Wszyscy mieli już — zdaje się — dosyć tej zabawy. Zebraliśmy się i wyszliśmy na ulicę. Wiatr halny huczał i zawodził złowrogo, deszcz — w styczniu! — Siekł ostrozęsiście. Opanowało nas niepostrzeżenie uczucie straszliwego osamotnienia w tym czarnym, ponurym mroku potwornej nocy. Zaczęły się pożegnania ciche i bez słów prawie. Pod kawiarnią zostaliśmy wreszcie we dwójkę: Graf de Kłakowo-Kłak i ja.

— Tadziu — powiada do mnie Kłak tonem rozkazującym — będziesz spał u mnie.

— U ciebie? — pytam niedowierzająco.

— U mnie, u mnie. Gdzieżbyś ty teraz lazł do Poronina? Chodź, Tadziu, ze mną — chodź...

— A gdzież ty mieszkasz?

— Ja? Gdzie mieszkam? No... rozmaicie. Dziś pojedziemy n. p. do Kołatki i wyrzucimy go z łóżka. Pójdzie se obserwować wschód słonka.

— Deszcz pada... Zresztą — nie można...

— Jakto — nie można? Jeśli będzie ordynusem i wyrzuci nas, to u Jasia Zasławskiego — słyszałem jest jakiś mały zaciszny kąt na strychu. Chodź!

— Zimno na strychu. Chodź raczej ze mną do Poronina.

— Do Poronina — powiadasz? A dobrze, dobrze — i owszem. Spacerek ładny, deszcz pada. „leje siekawica, doleje, dosiecze Janickowi lica“. I owszem, idę.

Ruszyliśmy w drogę. Kłak zataczał się cokolwiek, fantazyi przecież nie tracił. Pod willą „Jasny Wirch“ zaczął nucić jakąś szelmowsko sentymentalną piosenkę.

— To na cześć smukłej Lili — rzekł po pierwszej zwrotce.

— Szkoda czasu...

— Szkoda czasu? Bój się Boga! — wołał graf de Kłakowo z oburzeniem. — Kobietom nigdy nie poświęcamy za dużo czasu. Pomyśl tylko... Przecież to takie, takie... miłe stworzonka. Takie stworzonko jest nieraz wprost wściekłe, a jeszcze znajdzie uśmiech dla ciebie. Albo: oszukuje cię, kłamie (jak z nut), przekręca twoje słowa, ale z uśmiechem, z tym słodkim, wabiwym, czarującym uśmiechem. Lubię to. Te, co mnie (i nas) oszukują, najbardziej lubię. Te mają najwięcej uroku i umieją go zachować najdłużej. Lili z pewnością do tych należy... Lili! — krzyknął przeraźliwie głośno.

Starałem się uspokoić wszelkimi sposobami zbyt liryczne okrzyki Kłaka. Gdyśmy znów uszli spory kawał drogi, stanął naprzeciw mnie i zaczął:

— Ale ta, wiesz, ta z tym fantazyjnym kapelu-

Dzieje tej miłości Tetmajera do Tatr, to dzieje każdej miłości, której na imię „jedyna“; choć poczyna się ona samorzutnie i błyskawicowo w jakiejś „godzinie cudu“ — przecież zdobytą być musi jej wzajemność. Otoczy ona duszę bolesnem przeświadczeniem o swej bliskości, lecz równocześnie zmaga ją bezlitośnie nakazem potwierdzenia siebie samej w czynach. Wtedy to wsuwa się chyłkiem na widownię usłużny a fałszywy pośrednik: życie — i łudzi duszę coraz innem mamidłem, że ze znużenia lot swój obniża i snu na nizinach łaknąć poczyna. Nie dopuszcza do tego życie, boć dusza śpiąca przestaje być łupem jego igraszek, więc budzi duszę z chwilowego odrętwienia a dusza, spostrzegłszy, że znów dalekiem to, co tak blizkiem się być zdawało, zrywa się znów do lotu, rwąc rozpacznie narzucone jej podstępnie więzy i pęta. Cały szereg takich momentów szamotania się i obłędnego łkania nieucziszonej tęsknoty, wykazaćby mogła analiza twórczości Tetmajera. Nie były one jednak dla niego źródłem niemocy — były raczej chwilowym skutkiem osłabień i znużenia orlich skrzydeł. Lecz po takich upadkach wzmagał się jeno duch, aż nadszedł moment, w którym dusza zdobyła dumne poczucie własnej potęgi i mocy, odzyskała siebie samą. Poczęło się tworzenie własnego świata. Tym punktem zwrotnym w twórczości były pierwsze tomiki „Skalnego Podhala“. Od onej chwili to, za czem łkała tęsknota, co życie usiłowało oddalić mamiąc oczy ukojnym błękitem smutku, durząc zmysły czarem melancholii, karmiąc poczucie mocy goryczą rozpaczy i zniechęcenia, — to stało się teraz codziennym duszy pokarmem i napojem.

Więc, choć z „i n n ą“ duszą urodził się twórca „Legendy Tatr“ pod temi górami, zdołał on jednak wypłukać z siebie ową „inność“, i stanąć w obliczu Tatr z duszą nową, przez siebie w ciężkim boju wywalczoną, z duszą, godną ich duszy. Rozpoczął się błogi i szczęsny okres miłości „jedynej“ i... wzajemnej. Z jej ducha wyłoniła się „Legenda Tatr“, źródło ich wieknistego odtąd żywota.

Lecz co jest „duszą“ Tatr?

Tatry!... czemuż jak siedzib szukające ptaki,
Myśli moje ku waszej zamarłej pustyni
Lecą przez mgłę tęsknoty i przez marzeń szlaki?

O pustyni tatrzańska! bo na tym obszarze
Całej mojej ojczyzny — o skalna świątyni —
W tobie jednej są jeszcze — swobody ołtarze!

W tym mocnym, bezpośrednim wykrzyku miłości duszy największego przed Tetmajerem poety Tatr, Franciszka Nowickiego, mieści się najpełniejsza odpowiedź na postawione pytanie.

Swoboda! Swoboda, nazwana z krwawą ironią przez Witkiewicza „zbytkiem życia, którego nie mamy za dużo“, swoboda, która ogarnąć musi każdego człowieka, zdolnego do uświadamiania sobie odrazu istotę rzeczy, ona, a raczej jej poczucie, jest kluczem, otwierającym duszę tych gór.

Słowo to, rzucające snop światła wstecz, aż do punktu wyjścia niniejszych myśli, wyjaśnia też właściwą istotę i dziedzinę walki, którą musiała stoczyć dusza „inna“, pod temi górami zrodzona; a dalej — pogłębia ono i rozszerza zagadnienie twórczości Tetmajera, stawiając go w szeregu tych artystów, dla których osią twórczości jest zagadnienie wszechludzkiej swobody (a więc i narodowego bytu). A właśnie na ten moment jego twórczości zbyt mało dotąd zwracano uwagi — tak mało, że obawiam się, czy twierdzenie powyższe nie spotka się conajmniej z niedowierzaniem. Opiera się ono jednak na istotnych podstawach: „Ohydne życie czyni z nas chore maszyny, zabija w nas zdrowych ludzi. Jesteśmy chorzy. Ratujmy się! My jesteśmy już straceni, ale w tych pokoleniach, które idą, trzeba wyrabiać moc i siłę. Wolałbym, żeby nas wieszano na szubienicach, jako zbyt silnych i awanturniczych, niż żeby nas wożono do domów zdrowia.“ Słowa Tetmajera, wyrwane z jego rozmyślań nad „Pamiętnikiem podróży do Tatrów“ Goszczyńskiego.

Nazwaliśmy na wstępie „Janosika Nędzę Litmanowskiego“ najszczytniejszym hymnem, wyśpiewanym ku czci swobody. Tak jest istotnie. Książka ta zdolną jest rozpalić w każdym, w kim dusza do cna nie zabita straszną potrzebę i niespokojną żądzę tej swobody, „dla której walczą i umierają pokolenia — lub jeśli mogą istnieć bez niej, stają się strupieszałymi stadami nędznych istot“. I to jest duchem tej książki; o tem mówi nam istota wszystkich postaci od Janosika do Gałajdy, postaci, z których bije nieznany nam dzisiaj urok bohaterstwa, zdrowia i tężyzny, przelewającej się po brzegi.

Zaś stworzyć to wszystko mógł tylko artysta, który wytworzył w swej piersi duszę onym bratnią i na ich miarę; gdyż nawet orle skrzydła zaciążą... tropowi.

Na zakończenie jeszcze jedno spojrzenie wstecz. „Legenda Tatr“ obejmuje dwie części. Pierwsza z nich nosząca tytuł „Maryna z Hrubego“, to jakby ostatnia przełęcz w drodze na szczyt — to z drugiej strony, jakby ostatni moment spowiedzi duszy poety, odbywanej u stóp skalnej słuchanicy Tatr. Po niej nastąpiła z konieczności komunia dusz.

Tak pojmuję treść kilku słów Tetmajera w jego adnotacyi do „Janosika“: „Od „Maryny z Hrubego“ do „Janosika“, uczyniłem wielki krok i zostałem przy samym zwartym, litym, surowym, m o i m w ł a s n y m przedmiocie i materyale“.

Floryan Sobieniowski.

BOGUSŁAW BUTRYMOWICZ.

W GODZINACH ZMIERZCHU...

I.

W godzinach zmierzchu słońce twe wschodzi,
jak bóg ogromny z państwa podziemi,
w głąb charonowej składa cię łodzi,
chyżej żaglami nieścignionymi.

W godzinach mroku żeglować pora
ku brzegom obcym twej zwykłej jawie:
temu, co ż y c i e m mieniłeś wczora,
i w coś już zdołał uwierzyć prawie.

Piersi ci gniotła ta życia zmora,
aż głębie przyszły budzić cię szumne,
byś patrzał na to, co było wczora,
jak na cuchnącą, zbutwiałą trumnę.

II.

Że tam coś boli?
To nic! To nic!
Raz jeszcze — nic!

Ból jest tem oknem, którem powoli
wdziera się wieczność do twej istoty
i żłobi otchłań w piaszczystej roli
pługiem tęsknoty...

Że serce boli,
to nic, to nic!
Dusza jak cichy,
spokojny widz,
z swej niebotycznej
spogląda turni,
jak się coś pod nią
kłębi i chmurni —
jak w twój ułomny,
padolny dom,
chłoszcze i bije,
wicher i grom!...

III.

Jaką ty jesteś kryształową czarą
na tę krynicę doli naszej szarą —

jaką ty jesteś czarodziejską bezdnią,
z której się ku mnie oczy złote gwiezdnią —

jakiem ty miękiem jesteś złotogłowiem
skroni, kąsanej żądeł strutych mrowiem,
o, Zmierzchu!

IV.

Cisza w pokoju
i szary mrok —
na dworze srebrny
gwiazd skrzy się tok —

w ogrodzie drzewa
z zimna dygocą
i płaczą w głos —

Ciemność rozwiewa
pustką i nocą
swój siwy włos.

BALLADA NA STARĄ NUTĘ.

Pod lipą złotokwietną
stoi smutna kochanka,
kochankowi zmarłemu
kwiaty wije do wianka.

Śpi w mogile głęboko
z otwartemi oczyma — —
Pod lipą złotokwietną
kochanka wianek trzyma...

Sine błyszczą źrenice
przez czeluście grobowe,
a pod lipą kochanka
wianek wkłada na głowę.

Idzie z wiankiem na skroni
krętą, leśną drożyną —
jakieś echa i jęki
przed nią, za nią, w krąg płyną.

Idzie... wreszcie uklęknie
u stóp starego buka,
ucho do ziemi tuli,
w ziemi coś puka... puka...

szem... Na schodach pod „Radostką“... Te czarne oczy, te głębiny buchające czarnemi płomieniami... Patrzała na mnie, ja na nią... No, Skórski mógł sobie palnąć w łeb... I owszem... mógł...

— Czas by był i na ciebie — żartowałem.

— Hm... bratku. Pewnie, pewnie. Ale ja — uważasz — nie biorę życia tak zupełnie na seryo. Uważasz? Minęły te czasy. Wszystko takie zabawne... I to społeczeństwo i literatura i polityka... Skąd, dokąd i poco? Hihihi!... Uważasz — trzeba tylko raz spojrzeć na seryo *sub specie aeternitatis*, hehe, a cały pogląd na świat, taki ci się zrobi weselutki... hihihi!...

Zamilkł. Po chwili dodał:

— Nie jestem ani szczęśliwy, ani nieszczęśliwy. Jestem — mgła. Ja jestem polska mgła. I chcę się popłątać trochę po świecie. I zabawne, że nie znam ludzi szczęśliwych, ani nieszczęśliwych (mojem zdaniem — uważasz). Mówię całkiem poważnie w tej chwili (znów stanął i zaczął szarpać guziki od mego palta) — pójdę z wiosną do Indyi, piechotą. Jeżeli po drodze, lub u celu podróży spotkam jednego naprawdę szczęśliwego, lub nieszczęśliwego — mojem zdaniem — człowieka, to wtedy... może, może... Wtedy może znajdzie się kulka i dla mnie. A do tego czasu będę pił.

Nagle wybuchnął szalonym, nieokiełznanym śmiechem.

— Słuchaj — mówił zanosząc się od śmiechu — i ja też... miałem narzeczoną. Hihihi! A bodajże ją... Bardzo sympatyczna dziewczyna. Ale dowiedziała się, że piję — powiada — nałogowo! Wali ci do mnie „Liebesbrief“ i zaklina mnie, bym nie pił, te wyjdzie za mnie — hihihi!... A bodajże ją... Więc odpowiadam jej: „Moja taka, a taka Izabelko! Mogę być tylko takim, jakim mnie sobie życzył mieć Pan Bóg. Uważasz? Bliższych informacyi o mnie może ci udzielić c. k. policya stołecznego miasta Krakowa, Lwowa, lub“... I po tym szczerym liście moim zamilkła. Biedna dziewczyna... Kto wie, czy się nie rzuciła pod pociąg z rozpaczy.

— Nie czytałem w gazetach o takim wypadku — musiałem uspokajać Kłaka, gdyż zaczął rzewnie płakać.

Doszliśmy jakoś szczęśliwie do kościółka w Poroninie. Kłak „wyrwał“ niespodzianie z drogi i podszedł do Chrystusa, który wisi na przydrożnej ścianie kościoła. Stanął pod nim nabożnie, ucałował go serdecznie w nogi i wrócił na drogę. Nie chciałem mu psuć podniosłego nastroju, więc nie pytałem ani słowem, co właściwie miał oznaczać ten dziwny akt skruchy.

— O, jak Boga kocham! — krzyknął nagle.

— Co się stało?

— Mam ci jeszcze w kieszeni flaszkę wódki. Popatrz-no... O! flaszka, dzygara, papierosy, sardynki...

Chwycił mnie za gardło przeciągły, pusty śmiech. Poznałem i tę flaszkę i te „dzygara“, papierosy i sardynki. Były to niedobitki ze stołu kawiarnianego.

— Powiadam ci — mówił rozradowany Ignacy graf de Kłakowo-Kłak — ta wódka to jest ciekawy wynalazek. Ni to wróg, ni to przyjaciel. Bez niej trudno, z nią rozmaicie. Ma w sobie także coś z kobiety. Jest zalotna, słodka lub gorzka, upaja i tak dalej... aż do kulki w łeb... No, ale gdzie i jak my tę wódkę wypijemy?

Koło stacyi kolejowej mieszkał jakiś zakapturzony belfer, o którym opowiadałem kiedyś Kłakowi. Postanowiliśmy go zbudzić i wspólnemi siłami wychylić kielich goryczy do dna. Świtało już na dobre. Belfer, pomimo wszystko nie obraził się i przyjął nas ze staropolską gościnnością.

— Pozwoli pan — krzyczałem już we drzwiach — przedstawię mu mego towarzysza. Pan Ignacy graf de Kłakowo-Kłak.

— *Nehmen Sie Platz* — odpowiedział profesor uprzejmie.

Wypiwszy jeden i drugi kieliszek, pan profesor wstał z łóżka i zaprosił nas „na swoją odpowiedzialność“ do szynku. Piliśmy jakieś lemoniady, czarne kawy i herbatki. Wreszcie Kłak wstał i pospiesznie wyszedł. Gdyśmy wyjrzeli za nim, był już na torze kolejowym, Szybko przeszedł go, wpadł w głęboki rów, wygramolił się i widzieliśmy go jeszcze, jak brodził w śniegu, idąc ku spienionym falom Dunajca. Znikł w zaroślach. Ogarnął nas gwałtownie niepisany lęk.

Żwawo ruszyliśmy jego tropem. Gdyśmy już doszli do zarośli, zaczęliśmy wołać w niebogłosy: „Kłak! Kłak!“ Lecz nie było odpowiedzi. Pan profesor zdołał tymczasem zgubić swój cwikier, szukał go więc bezradnie, klnąc i stękając, jak stary dragon. Kamieniec huczał przeraźliwie dzikim warkotem wezbranego, mętnego Dunajca. Dzień już nastał dzień dziwnie łagodny, słoneczny, przebaczający. Kłaka nie było widać. Stanąłem pod jakąś cienką młodą olchą i bezradny jeszcze raz ze wszystkich sił zawołałem „Kłak“! W tej chwili poruszyło się coś nad samą wodą. Pobiegłem w ową stronę. I oto ku memu zdumieniu (!) Kłak siedział tu najspokojniej w świecie na gładziutkiej skrzyżali, zasłoniętej nieco od zarośli garbatą skałą. Usiadłem tedy tuż obok niego, lecz Kłak — zdaje się — udał, iż mnie nie zauważył.

— Kłak — zacząłem wobec tego — kiedy ostatni raz byłeś w teatrze i co wtedy grali? którą rolę „dublujesz“?

Kłak spojrzał na mnie złowrogo.

Żali kret-to żałobnik
tak ziemię głuchą toczy?...
twarz kochanki jak chusta,
jak dwa węgle w niej oczy...

Paznokcie wbija w ziemię
i grzebie... grzebie, kopie —
jak gromnica lśni słońce
na lazurowym stropie.

Aż ostatnią garść ziemi
lodowatej odgarnie:
świecą się oczy trupa,
jak dwie sine latarnie.

Świecą oczy kochanki
jak czerwone łuczywa —
noża wyjmie z zanadrza
pierś zmarłego przeszywa.

W górę tryska krew czarna,
broczy czoło i wianek —
Jęknął głucho i oczy
zwolna przymknął kochanek.

. . . .

Hej! z lipy naszej słodkiej
wichr zdziera złote włosy —
Pod lipą leży Rozpacz
i wyje w niebogłosy...

ZE ZBIORU BAJEK STAROINDYJSKICH

„PANCATANTRAM“

Wychowanek lwicy.

Żyła raz w jednym lesie para lwów. I zdarzyło się, że lwica porodziła dwóch synów. Tedy lew wychodził sam na łowy i znosił położnicy upolowane antylopy, jelonki i t. d.

Pewnego razu nadaremnie przeszukał po trzykroć wszystkie legowiska leśne i kryjówki: nie znalazł nic, pomimo że już prześwięte bóstwo słońca zniżyło się ku wierzchołkowi góry, za którą co dnia zapadało. Dopiero w powrocie do jaskini potknął się na czemś żywem, co po obejrzeniu okazało się szakalem. Że jednak było to jeszcze maleństwo, lew ulitował się nad niem, [illegible]bożę leciutko w zęby i oddał żywe lwicy. A ona zapytała:

— Cóż, kochany, przyniosłeś mi co do jedzenia? Lew zaś odparł na to:

— Droga, nic dziś nie udało mi się złowić krom tego oto szakalątka. Ale [illegible] to jeszcze taki drobiazg, więc nijako mi było dławić. Wiesz zresztą, co powiedziano: „Nigdy i nigdzie nie ukrzywdzisz ani niewiasty ani bramina ani biczownika ani dziecka, i choćby ci wskutek tego przyszło zbyć żywota!“ Wszelako ty możesz sobie z tego nic nie robić w twoim stanie. Zjedz je więc bez żadnych skrupułów — i oby ci tylko smakowało! — Lecz ona odpowiedziała:

— Kochany, to ty szakala tego oszczędziłeś, uważając go za zbyt jeszcze małego, a jażbym go miała zabić dla zaspokojenia mego głodu? Na swoje usprawiedliwienie przytoczyłeś mi jedno nasze przykazanie odwieczne, pozwól zatem, że ja ci przypomnę inne, równie, jak tamto, święte: „Czego się nie godzi czynić, nie będziesz czynił nigdy, nawet, gdyby się przytem ważyło twoje życie; natomiast uczynisz zawsze to, co się uczynić godzi!“... Przeto niech mi on będzie trzecim synem!

Po tych słowach nakarmiła szakalątko mlekiem własnych piersi. I odtąd chowało się ono na równych prawach z jej dziećmi rodzonemi.

I tak spędziły wszystkie trzy wśród wspólnych igraszek czas dzieciństwa, nie wiedząc nic o różnicy swego pochodzenia. Aż razu jednego spotkały się z buszującym po ich lesie dzikim słoniem. Na jego widok oba młode lwiątka zawrzały gniewem i wraz przysposobiły się do skoku na tego odwiecznego nieprzyjaciela swego rodu. Lecz syn szakala przeraził się i zaskomlał drżącym głosem:

— Szaleńcy, co robicie? Ten słoń jest bardzo mocny i bardzo niebezpieczny!

Zaczem rzucił się do ucieczki i biegł co tchu ku domowi.

Tchórzostwo towarzysza odebrało odwagę także dwom pozostałym, bo wiadomo, że, jak jeden żołnierz odważny i gotowy do walki potrafi do niej porwać całe wojsko, tak znowu jeden tchórz potrafi w całem wojsku wzniecić popłoch. Więc i synowie lwicy poszli niebawem za przykładem szakala.

Ale po powrocie do domu zawstydzili się obaj i, mając żal do najstarszego brata, opowiedzieli rodzicom wśród drwin i śmiechu o jego zachowaniu się wobec słonia.

— Chcieliśmy całem sercem — tak zakończyli opowiadanie o przygodzie — ale ten oto wziął nam serce i tak umykał z niem, iż omal nóg nie pogubił.

A serce szakala dopiero teraz zapłonęło srogim gniewem. Zadrgał mu podbródek, zaiskrzyły się ślepia i, marszcząc groźnie brwi, obrzucił braci grubemi przezwiskami.

Wówczas lwica odprowadziła go na stronę i rzekła doń dobrotliwie:

— Moje dziecko, nie mów tak brzydko do nich, wszakże to bracia twoi!

Ale to łagodne upomnienie zwiększyło tylko złość szakala:

— Co mi tu mama! — zaskowytał. — Nie ustępuję przecież tamtym dwom ani pod względem bohaterstwa ani urody ani sprytu ani gorliwości w naukach — czemuż więc ze mnie pokpiwają? Jednakże zapłacą mi oni za to — choćby życiem!...

Usłyszawszy to, lwica stłumiła w sobie śmiech i rzekła tylko, chcąc go uchronić przed niebezpieczeństwami w przyszłości, gdyż się do niego przez długi czas wychowania przywiązała:

— Ależ owszem, synusiu, jesteś i bohaterski i uczony i piękny, tylko że w tem plemieniu, z którego się wywodzisz, nie walczy się nigdy ze słoniami. Bo wysłuchaj tylko dobrze tego, co powiem, moje dziecko. Jesteś płodem szakala, a ja z litości jeno wykarmiłam Cię mlekiem swoich piersi. Dopóki więc synowie moi są jeszcze młodzi i nie wiedzą o tem, żeś szakal, oddal się stąd co prędzej i żyj wśród własnych współplemieńców. W przeciwnym razie lwy przepędzą cię na tamtą stronę drogą śmierci.

Posłyszawszy to, szakal struchlał, a gdy nieco ochłonął z trwogi, opuścił chyłkiem nieswoje towarzystwo i przyłączył się do własnych współplemieńców.

Czterej bramini:
trzej uczeni, a jeden mądry.

W pewnem mieście mieszkało ongi czterech braminów, zdawna ze sobą sprzyjaźnionych. Trzej z nich byli uczeni we wszelakiem piśmie, ale nie mieli rozumu, natomiast czwarty gardził ksiąg uczonością a posiadał jeno rozum.

Jednego razu owi trzej uczeni po dłuższej naradzie z sobą orzekli zgodnie:

I cóż nam z całej naszej wiedzy, gdy siedzieć tak będziemy w ukryciu? Idźmy w świat, a posiądziemy łaskę książąt i pieniądze!

I poszli w świat, jako uradzili. Nie sami atoli, bo i ów czwarty, mądry, wybrał się z nimi w podróż.

Kiedy już uszli kawał drogi, najstarszy z trzech braminów uczonych rzekł po cichu do dwóch innych:

— Po co właściwie idzie z nami ten czwarty? W jego głowie niema nic, krom rozumu. Któż zaś samym rozumem bez nauki pozyskał kiedy względy królów? A dzielić się z nim przecie tem, co sami tylko pozyskamy, nie będziemy.

I rzekł drugi uczony:

— Słusznie prawisz. Przeto niech zawróci, skoro ma tylko rozum, i niech sobie z nim siedzi w domu.

Ale trzeci miał inne zdanie:

— Nie, to nam czynić nie przystoi! Mnogo lat przeżyliśmy społem i dzielił z nami zawsze naszą dolę. Wiedza nasza zdobędzie nam tyle, że dość będzie każdemu z nas, choć się z nim podzielimy. Tedy niech idzie z nami jako dotąd.

Więc szli, jako dotąd, wszyscy czterej. Idąc zaś, po niejakim czasie znaleźli w lesie kości lwa nieżywego.

I zakrzyknął najstarszy uczony:

— Wybornie! Możemy ninie wypróbować naszą wiedzę! Oto leżą przed nami szcząty zwierza, ożywmy je tedy sztuką, którąśmy w ciągu lat posiedli!

I rzekł zaraz jeden z uczonych:

— Ja umiem składać kości!

I rzekł drugi:

— A ja mu dam krew, mięso i skórę!

— A ja go ożywię! — dodał trzeci najstarszy.

I wraz pierwszy z nich złożył kości, a drugi zaopatrzył je w krew, mięso i skórę — zanim wszakże trzeci, najstarszy, tchnął w zwierza iskrę życia, czwarty bramin rozumny, przestrzegł go, mówiąc:

— Pamiętaj, że to lew! Zginiemy, jeżeli go ożywisz!

Ów zaś odowiedział:

— O ty głupcze! Mamże nie zrobić użytku z mojej wiedzy?

Tedy mądry poprosił jeno:

— Więc przynajmniej zaczekaj chwilę, aż się wydrapię na to drzewo!

Co gdy się stało, najstarszy z uczonych zrobił zaraz użytek ze swej wiedzy, zaczem lew, nieomieszkając, pożarł i swego ożywiciela i obu jego towarzyszy.

A rozumny bramin zlazł z drzewa, skoro się tylko lew oddalił i powrócił do domu.

Przełożył *Fr. Murski.*

FELIKS GWIŻDŻ.

Z WIOSENNYCH PIOSNEK.

Czy zaszumiała jabłoń biała,
Jabłonka moja śnieżnej bieli?
Czyś się też do mnie ty zaśmiała? —
Bo jakiś czar mnie tknął anieli...

Czy to wisienka w okno trąca
Gałązką wonną, jak twe miano,
Czy ty zaglądasz do mnie drżąca
Uśmiechem słonka w rośne rano?

Kto to? Odpowiedz-że mi, Miła,
Boś na ogrodzie gdzieś wyrosła...
Jeśliś Ty w okno dziś trąciła,
Poślę do Ciebie wiśnię w posła...

— Kłak, nie gniewaj się na mnie — wówiłem dalej. — Ot, pochyl się bratku i pocałuj wodę.

— Co? Ja? Wodę? Pocałować? — I Kłak zerwał się nagle z miejsca, zrobił jakiś dziwaczny ruch i tak, jak stał, w ubraniu wszedł w wodę. Nie zdołałem jeszcze przyjść do siebie z osłupienia, gdy Kłak był już na drugiej stronie rzeki.

— I poco on to robi? — odezwał się za mną profesor. — Gotów się nabawić kataru.

— Zawsze podziwiałem pańską zdolność przewiwidywania, profesorze! Znalazł pan cwikier? Więc czegóż pan stoi? Niechże pan idzie po Kłaka.

— Może pan pozwoli.

Profesor skłonił mi się do nóg i z dworną galanteryą wskazał rzekę. Obrzyła mię ta wyszukana bezczelność. W gruncie rzeczy woda straszliwie zimna. I brudna. Sięga powyżej kolan. Co tu robić? Ot położyłbym się do łóżka.

— Kłak! Na miłość boską, Kłak — wołałem rozpaczliwie.

Kłak tymczasem tarzał się po śniegu, wstawał, obejmował drzewa, całował je, i kłaniał się w pas słońcu, to znowu posyłał nam jakieś tajemne znaki ostatnich pożegnań. Chwilami chwytał mnie już śmiech — szalony, pusty, nie liczący się z niczem, śmiech bezradnego człowieka w sytuacyi tragikomicznej. To znów ogarniała mnie poprostu trwoga o „tego waryata“.

— Za ciąg dalszy odpowiedzialności nie biorę — wtrącił znów pan profesor.

— Więc może pan odejść.

— Oho, mój panie. Za nic w świecie. Jeszcze nic podobnego nie widziałem w swem życiu.

— Kłak, powieś się wreszcie, — krzyknąłem wściekły.

Prawdopodobnie usłyszał te słowa, gdyż, wywijając groźnie laską, zaczął pędzić z powrotem ku rzece. Wpadł do wody jak granat i w momencie był przy nas. Zaczęliśmy go namawiać i błagać, by szedł z nami do domu. Lecz prośby te tak rozsierdziły go na nowo, że wyrwał się nam z rąk i znów skoczył do wody. Prychał w niej jak młody na łąkę wypuszczony źrebak. Ponieważ to porównanie stanęło mi wtedy bardzo plastycznie przed oczami, więc znów porwał mię śmiech, śmiech nieokiełznany, szalony. Kłak właśnie w tej chwili stanął na przeciwnym brzegu i odwrócił się do nas. Zauważył mój śmiech. Spostrzegłem, że zbladł i począł drżeć na całem ciele. W oczach jego było coś z przesmutnej beznadziei. Leniwym i ospałym krokiem wlókł się koło wody i szukał wygodniejszego, płytszego odwrotu. Pozwoliłem sobie zaproponować mu przejście w miejscu, gdzie woda rozlała się po kamieńcu i była rzeczywiście płytsza.

— Myślicie, że nie umiem pływać? — zawołał oburzony i zawrócił w górę, gdzie koryto Dunajca było płytsze i woda głębsza. Nie pomogły już żadne zapewnienia wiary w jego umiejętność pływania. Kłak wszedł odrazu w jakiś gwałtowny, spieniony wybój. Woda poniosła go. Lecz Kłak istotnie nie dał się. Zaczął pływać. Ciapkał rękoma po wzburzonych falach, a futro jego wlokło się za nim, jak rekin za okrętem. Dobił wreszcie do brzegu. Zdarliśmy z niego futro i wzięliśmy je na drągi kij. Kłak był mokry do nitki, blady, jak śnieg, milczący i wyczerpany. Nie oponował już przeciw niczemu.

— Tyle energii społecznej zużyć na taki wątpliwej wartości wybryk! — medytował profesor, pomagający mi dźwigać futro Kłaka na kiju.

Szliśmy powoli, nie mówiąc nic do siebie. Ludzie, idący do kościoła, przystawali grupkami i obserwowali nas z ironią, pełną pobłażliwości. Gdyśmy weszli do izby, Kłak odetchnął. Przebrałem go szybko i ułożyłem na łóżku. Zażądał jeszcze wódki „na rozgrzewkę“. Wypił kieliszek jarzębiaku i zaczął coś bredzić.

— Myślałem, że pójdziecie i wy za wodę... Eh!

— Niema głupich, panie hrabio! — odpalił mu profesor.

— No tak, tak...

Ogarniała go zwolna błoga, słodka senność. Jeszcze marudził coś, lecz oczy miał już sklejone. Jakby ostatnim tchem mruczał pod nosem:

Wiatr za szybami śmieje się,
Psia krew! — to życie takie złe!
Nie — już nie będę więcej pić,
Jutro inaczej zacznę żyć!

Spał do wieczora. Gdy się zbudził, wypoczęty i zdrów, złożył nieproszoną przysięgę, że nigdy już nie będzie pił alkoholu. Przyjąłem to do „zatwierdzającej wiadomości“ i odwiozłem go do Zakopanego. Pamiętam, że po drodze zauważyliśmy jeszcze, iż tej nocy częściej był Kłakiem, niż grafem de Kłakowo. Ale już w Zakopanem nabrał odrazu poloru. Zachciało mu się kawiarni. Ledwieśmy weszli do niej, Kłak zamówił już sobie „silną z mocną na rozgrzewkę“.

— Przysięgałeś przecie — tłómaczyłem mu.

— Tak, ale w Poroninie, nie w Zakopanem. A w Poroninie chyba już nie będę w swem życiu

— Jesteś niepoprawny, Kłak...

Lecz Kłak spojrzał na mnie z góry okiem dumnego lwa. Zaczynał być Ignacem grafem de Kłakowo.

„AUTO“

Kraków, Plac Szczepański 12.



Tennis · Piłka nożna
Hockej · Golf

Wszelkie przybory automobilowe.

Kwestya ruska — a wybory.

(Ze strony specyalnej).

Gdy stało się już jasnem, że rząd nosi się z zamiarem rozwiązania Izby poselskiej, wśród licznych a tego powodu żalów i utyskiwań w prasie polskiej słyszeliśmy także głosy obawy,! że nowa, przedwczesna walka wyborcza i ten jeszcze zły wywrze skutek, iż bardziej jeszcze zaostrzy stosunki polsko-ruskie — i to w chwili, w której Sejm galicyjski ma ostatecznie uchwalić reformę wyborczą. Obawa ta była może jedynym argumentem przeciw rozwiązaniu, który miał pewną racyę, a w każdym razie zasługiwał na uwagę, ponieważ waśń rusko-polska jest rzeczywiście najgorszem złem, jakie trapi Galicyę, największą przeszkodą jej kulturalnego i ekonomicznego rozwoju.

Decydującą naturalnie nawet dla nas obawa taka w tej sprawie być nie mogła, ponieważ nawet może zaostrzenie się walki polsko-ruskiej nie może zrównoważyć korzyści, jakie kraj nasz odniósł przez wcześniejsze rozwiązanie parlamentu, przez to, że już dziś dano mu sposobność do wybrania nowego Koła polskiego, w miejsce zupełnie niedołężnego przez grupę wszechpolską zdezorganizowanego i zdyskredytowanego Koła poprzedniego. Łatwo zaś być może, że nowe lepsze Koło znajdzie środki i sposoby nawet złagodzenia znów wszelkich złych skutków jątrzącej obie narodowości walki wyborczej.

Czy atoli walka ta koniecznie musi wywołać nowe rozjątrzenie między stroną polską a ruską?

Gdyby po obu stronach była dobra wola do zgodnego współżycia, zapewne takiego następstwa po walce wyborczej obawiać by się nie potrzebowano. Ustawa wyborcza rozgranicza przecież dość ściśle okręgi wyborcze ruskie od polskich i ścieśnia punkta sporne do kilku zaledwie okręgów i mandatów. I tu uczciwa walka mogłaby być możliwą — bez wzajemnej nienawiści, lecz niestety i po jednej i po drugiej stronie nie brakuje żywiołów i czynników, które rozbudzanie takiej nienawiści wzajemnej obrały sobie niejako za główne swoje zadanie. Po stronie ruskiej czynią to rozmaite grupy radykalne, po stronie polskiej szowiniści endeccy. I tylko wskutek tego jest niemal koniecznością to, co przy dobrej obustronnej woli dałoby się uniknąć.

Stojąc wobec tej kwestyi na stanowisku wprawdzie nawskróś narodowo polskiem, lecz mimo to na stanowisku beznamiętnem i przedmiotowem nie możemy jednak oszczędzić pewnym sferom ruskim zarzutu, że dopuszczają się wprost prowokacyi strony polskiej i tem odpychają uczciwą chęć do zgody znacznej większości, społeczeństwa polskiego. Wina to tem cięższa, ponieważ do tego rodzaju prowokującego postępowania po stronie ruskiej niema absolutnie dostatecznego powodu. Rozmaite jeszcze postulaty narodowe ruskie mogą być najzupełniej usprawiedliwione i uzasadnione, to przyznajemy chętnie; na to atoli zgodzić się nie możemy, iżby położenie narodowe społeczne i ekonomiczne Rusinów miało być w Galicyi tak rozpaczliwem, iżby usprawiedliwić co chwilę po stronie ruskiej wybryki rozpasanego wprost napastowania i drażnienia uczuć polskich. Czem zaś jest, jeśli nie takim aktem dzikiej, nierozumnej bufonady narodowo szowinistycznej, wykryta obecnie „konspiracya", mająca na celu gloryfikacyę dokonanego przed trzema laty mordu, ponowne rozjątrzenie tej jeszcze nie zabliźnionej rany polskiej?

Awantura ta sprawia tem przykrzejsze wrażenie ponieważ obliczona była wyraźnie na wciągnięcie w wir walki młodzieży ruskiej, na zatrucie tych serce młodych nienawiścią do wszystkiego co polskie.

Jesteśmy przekonani, że spokojniejsze i rozważniejsze żywioły wśród Rusinów zawsze ubolewają nad takiemi wybrykami, z naszej atoli strony znów ubolewać musimy, że nie mają one dość siły i cywilnej odwagi do napiętnowania tego rodzaju wybuchów głupiego szału. Przez to bowiem po stronie polskiej powstaje mniemanie, jakoby cały naród ruski zajmował wobec polskości tak nieprzejednane, wrogie stanowisko — a z tego znów korzysta endecki rownie głupi szowinizm polski, ażeby do reszty już zburzyć wszelkie mosty wzajemnego porozumienia.

A przecie właśnie w obecnej chwili, w rozpoczynającej się walce wyborczej Rusini mieliby najlepszą sposobność do wytworzenia platformy, na której dokonać by się mogło rusko-polskie, jeśli już nie pojednanie, to przynajmniej zbliżenie.

Na całej linii terenu polskiego zabiera się dziś do walki polskie postępowe stronnictwo demokratyczne. Jego program polityczny dobrze chyba jest znany. Nie wyrzekając się bynajmniej ani jednej piędzi ze słusznego polskiego stanu posiadania polska postępowa demokracya pragnie zgody z narodem ruskim, zgodnego przynajmniej z nim współżycia na podstawie wzajemnego poszanowania obustronnych praw i własności narodowych.

Z tego też powodu odpycha ona stanowczo i potępia ostro wszelkie zachcianki szowinistyczne, jako niegodne narodu polskiego. Gdyby więc po stronie ruskiej naprawdę dążono do zgody, przywódcy ruscy otwarcie i szczerze właśnie polskiej partyi demokratycznej życzyć by powinni zwycięstwa i gorąco pragnąć, ażeby ona uzyskała w obecnej walce wyborczej taką siłę, któraby dawała jej decydujący wpływ na nasze stosunki krajowe.

Poparcia czynnego polska demokracya postępowa od Rusinów nie wymaga, ale wzamian za dobrą wolę do zgody mogłaby domagać się chociaż tego, ażeby jej obecnej walki ze strony ruskiej nie utrudniano, lecz dano swobodną możność do rozwinięcia w całej pełni programu swego.

Rzecz naturalna, że nie da się to odnośnie do kwestyi ruskiej przeprowadzić — dopóki po stronie ruskiej zachodzić będą takie „spiski", jak ten ostatni świeżo wykryty, lub dopóki prowokatorzy ruscy w rodzaju księdza Niżankowskiego otwarcie łączyć się będą z Wszechniemcami przeciwko Polakom.

Tego rodzaju wypadki i objawy — to tylko woda na młyn wszechpolskich szowinistów, szkodliwych dla całego kraju i jego rozwoju, tak dla polskiej, jak i dla ruskiej strony.

Czy przywódcy ruscy życzą sobie naprawdę, ażeby ta grupa szkodliwa znów się w kraju rozpanoszyła? Dziś właśnie nadarza się dla nich sposobność do okazania, że i oni pragną porozumienia.

Nadesłane.

(Za tę rubrykę Redakcya nie odpowiada).

Z muzyki.

Ostatni koncert abonamentowy „Dyrekcyi Koncertów Krakowskich" i Koncert Chóru „Sokoła", były zamknięciem ubiegłego sezonu muzycznego. Brak jeszcze ostatniego koncertu Twa. Muzycznego, które nie tylko z rozpoczęciem produkcyi, ale i z ich przyprowadzeniem do skutku, zawsze się spaźnia.

Będzie jeszcze kilka spóźnionych produkcyi przypadkowych jak np. koncert Barcewicza i ... „finita la comedia.

Sezon koncertowy tegoroczny był właściwie pierwszym, w którym można było wyczuć jakiś ład, porządek i pewną całość w urządzeniu produkcyi. Celowość ta co prawda miała na oku przedewszystkiem interes związania końca z końcem, ale trudno. Na razie, nie może być inaczej a pocieszyć się musimy, że nigdzie też nie jest lepiej pod tym względem, nawet tam, gdzie zwykle szukamy wzorów.

P. Trzciński, właściciel i kierownik Dyrekcyi Koncertów Krakowskich, którego zasługi niejednokrotnie podnosiliśmy na tem miejscu z uznaniem, robił co mógł, by kulturę muzyczną i zamiłowanie do piękna muzycznego szerzyć. Czynił to ze skutkiem szczególnie w zakresie produkcyi orkiestralnych. Dzięki jego zabiegom, usłyszeliśmy utwory symfoniczne polskich kompozytorów obecnej doby, tej miary i tego znaczenia co „Rapsodya litewska" tragicznie zgasłego Karłowicza, oraz „Anbelli" Różyckiego, które to dzieła na żądanie p. Trzcińskiego wystudyowane wcieliła znakomita orkiestra monachijska, do swego repertuaru i poza produkowaniem utworów tych podczas tournée galicyjskiego, reprodukuje je na koncertach swych, w całej Europie (niedawno grano je w Monachium, Manheimie, Dusseldorfie, Elberfeld i t. d.). Do współdziała w jednej z produkcyi, orkiestralnych znakomitego zespołu monachijskiego wezwał p. Trzciński Chór Twa. Śpiewackiego „Lutnia", dając sposobność wysłuchania i pozna ia jednego z najwybitniejszych dzieł Liszta „Faust" a zarazem i sposobność do popisania się doskonałemu zespołowi „Lutni". — Pochwały jakie oddała prasa, a bardziej jeszcze te które padły z ust takiego znawcy jak dyrygent orkiestry Lassal, były nader miłe dla naszych Lutnistów, zapalonych miłośników śpiewu choralnego.

Z natury rzeczy, przewaga w produkujących była po stronie produkcyi; wirtuozów-instrumentalistów. W mniejszej liczbie popisywali się śpiewacy. — Z artystów polskich przesunęli się przez estradę: Artur Rubinstein, Wacław Kochański, Marya Salzówna, Józef Śliwiński, Zygmunt Szwarcenstein i jedyna śpiewaczka polska p. Stanisława Argasińska. — Wyjątkowemi audycyami były produkcye znakomitej klawecynistki paryskiej p. Wandy Landowskiej, która koncertowała dwukrotnie wywołując w muzycznym świątku krakowskim, zachwyty.

Zapowiedziane koncerty odbyły się z zaznaczenia godną punktualnością, nie gromadziły jednak odpowiedniej ilości słuchaczy, a sala na produkcyach bardzo wybitnych (jak np. Wieczorze Sonat, skrzypka Ondriczka z prof. Lalewiczem i Koncercie Kwartetu czeskiego) świeciła, przykre wrażenie wzbudzającemi, pustkami. — Zapał publiczności do słuchania dobrej muzyki osłabł i zmalał, ograniczając się do uczynienia zadość ustalonym i poznaniu tego i owego nowego lub jeszcze nieznanego, artysty.

Główna przyczyna tkwi tu nie tyle w braku muzykalności i zamiłowania u publiczności jak raczej w braku... monety, w zubożeniu ogólnem. — Produkcye jednej z najwybitniejszych śpiewaczek estradowych p. Stanisławy Argasińskiej, przyjęto z niedowierzaniem. I nic dziwnego. Program polskiej śpiewaczki mógł odstraszyć polską publiczność, która chętnie słucha obcych pieśni śpiewanych przez śpiewaków i śpiewaczki, wierząc że taka Yvone de Treville, Francuska, śpiewać będzie po francusku najlepiej, że p. taka Lucil Marcel, zaśpiewa przy boku Weingartnera jego pieśni — po niemiecku najlepiej i t. d., że taki jakiś ...ini najlepiej zaśpiewa po włosku.

Ta, sama jednak publiczność myśli sobie o śpiewaczce polskiej choćby najwybitniejszej, że jej francuska, włoska, lub niemiecka, a choćby i chińska wymowa, zatrąci zawsze, jeśli nie akcentem z nad Peltewki to akcentem z nad Wisełki i że właściwie nieprzyzwoitością jest śpiewać Polce Polakom nie po polsku. — P. Argasińskiej z pewnością nie p. Trzciń-

ski układał program i nie on jest winien zimnemu przyjęciu, z jakiem spotkała się, ze strony nielicznej publiczności krakowskiej — p. Argasińska, śpiewaczka naprawdę i bez zastrzeżeń, bardzo inteligentna, bardzo muzykalna, o materyale pięknym, wspaniale używanym a do tego artystka w każdym calu.

Wypadeczek to drobny, lecz kierownik powinien na przyszłość liczyć się z temi rzeczami i wyciągnąć odpowiednie konsekwencye.

P. Trzcińskiemu, za rozumnie zestawiony plan, za przezorne przeprowadzenie go, za danie sposobności poznania kilku nowych wybitnych sił, należą się słowa żywego uznania i zachęty. Wyrażamy je z całą satysfakcyą, życząc, aby przyszły sezon przyniósł nu z tem uznaniem, także i coś więcej, nad związanie końca z końcem.

W uzupełnieniu relacyi z tygodnia muzycznego, w którym jako w Tygodniu wielkim, nic godnego uwagi nie zaszło, zaznaczyć musimy pojawienie się w handlu księgarskim kilku pieśni wydanych nakładem księgarni wydawniczo-muzycznej S. A. Krzyżanowskiego. Są to dwie pieśni Słomkowskiego, dwie pieśni Świerzyńskiego, dwie pieśni (z tych jedna na chór trzygłosowy kobiecy z fortepianem) Zeleńskiego oraz interesującej nowocześnie napisanej pieśni Nowowiejskiego. — Utworom tym poświęcimy niebawem obszerniejsze sprawozdanie. *Fotel 66.*

Nadesłane.

(Za tę rubrykę Redakcya nie odpowiada).

Mylne wieści.

Namiestnik nie popiera endeków.

Z najpoważniejszego źródła otrzymujemy dziś zapewnienie, że przesłana nam przed tygodniami ze Lwowa telefoniczna wiadomość, jakoby Namiestnik Dr. Bobrzyński zawarł pakt z przywódcami wszechpolskimi co do wspólnej ich akcyi z konserwatystami przy wyborach, dalej, jakoby zamierzał ich usilnie popierać w walce wyborczej przeciwko stronnictwom demokratycznym — jest najzupełniej bezpodstawna. Namiestnik takiego paktu lub jakiegokolwiek innego układu ze stronnictwem wszechpolskiem nie zawierał i wogóle zamierza wstrzymać się od wszelkiego czynnego wplywania na wybory w kierunku politycznym, conajwyżej używał wpływów swoich w tym kierunku, ażeby do naszego Koła weszli jedynie ludzie czystego charakteru i czystych rąk (bez względu na to, do jakich grup politycznych należą), ludzie, którzyby dawali gwarancyę, że zdolni będą do produktywnej pracy w Kole, a nie narażają go na tego rodzaju przykre przejścia, jakie zachodziły w poprzedniej sesyi.

(Przypisek Redakcyi: Wiadomość o owym pakcie ze stronnictwem wszechpolskiem krążyła we Lwowie w bardzo pozytywnej formie, a nawet powtarzaną była w Kołach zwykle dobrze poinformowanych w Krakowie. Wobec powyższego sprostowania, którego wiarogodność żadnej nie ulega wątpliwości, przypuszczać tylko można, że rzekomy ów pakt był jedynie produktem wszechpolskiej blagi i kłamliwości.

Telegramy.

Kandydatura Radcy Germana.

(*Telefonem od własnego korespondenta*).

Nowy Sącz. Wiadomość, jakoby p. radca German zamierzał kandydować w Jarosławiu, nie zgadza się z prawdą. Nietylko w Nowym Targu, lecz i tu w Nowym Sączu liczy on tak znaczne zastępy zwolenników, że nie ma najmniejszego powodu, opuszczać tego dotychczasowego swego okręgu wyborczego. Uznanie dla jego pracy politycznej i zasług poselskich oraz obywatelskich jest tu powszechne, to też tak samo, jak w Nowym Targu i w naszem mieście ofiarowano mu ponownie mandat, który jest najzupełniej dla niego pewny. To też bardzo przykre wrażenie wywołała ta wiadomość, że nieliczna grupa wszechpolska ofiarowała mandat z naszego okręgu panu radcy Dworu Zborowskiemu, dyrektorowi c. k. kolei państwowych w Krakowie. Ta niefortunna dywersya wszechpolska przeciwko mężowi tak niezłomnych zasad, jakim jest Dr. German, i takim ogólnym cieszącemu się mirem, jest podobno owocem konferencyi, jaką miał były poseł Ptaś z p. Maryanem Staszewskim w Krakowie. Na tej konferencyi postanowiono zaszachować kandydaturę p. radcy Germana kandydaturą p. radcy dworu Zborowskiego, aby widocznie wywrzeć tem pewną presyę na tutejszych licznych urzędników i robotników kolejowych. Ta nowa intryga wszechpolska, połączona z wielkim nietaktem, nie odniesie tu najmniejszego skutku, ponieważ widok ów kandydatury p. radcy Germana nic zachwiać nie zdoła, a może narazić na przykry zawód p. radcę dworu Zborowskiego, człowieka i urzędnika również ze wszech miar godnego szacunku. Upadek tej kandydatury jest zupełnie pewny.

Kandydatury tarnobrzeskie.

Tarnobrzeg. (Telgr. własny Gaz. Pon.) Wobec wiadomości o kandydaturze p. radcy dworu Ignacego Rosnera w tutejszym okręgu wiejskim dowiaduję się, że p. Ignacy Rosner w tym okręgu kandydować nie zamierza. Natomiast zamierza on przyjąć kandydaturę w okręgu miejskim Tarnobrzeg-Mielec, gdzie ma zapewnione conajmniej 80 procent wszystkich głosów.

W okręgu wiejskim Tarnobrzeg Mielec kandydować będzie były starosta hr. Lasocki jako kandydat stronnictwa ludowego.

Kandydatury parlamentarne.

Tarnów, 16 kwietnia 1911.
(*Telefonem*).

Co do kandydatur parlamentarnych panuje w mieście zupełna dezoryentacya. Dowiaduję się — z dobrze poinformowanej strony, że poseł Battaglia czynił podczas swej ostatniej bytności w Tarnowie starania o względy starosty, który mu jednak miał oświadczyć, że rząd może popierać tylko takiego kandydata, który ma pewne szanse przejścia. Obiega mimo to pogłoska, że dr. Battaglia będzie w Tarnowie kandydował. Jako kontr-kandydata jego wymieniają, prócz socyalisty, który nie jest dotąd zgłoszony, burmistrza dra Tertila; chce on ratować mandat wszechpolski, co mu się jednak nie uda, gdyż kandydatura jego nie ma nadziei najmniejszego nawet powodzenia. Tylko szczerze demokratyczny kandydat może liczyć w Tarnowie na mandat poselski.

Ks. dr. Michał Żyguliński, były poseł okręgu wiejskiego, nie będzie się więcej ubiegał o mandat; dotknięty ciężką słabością wyjechał na stały pobyt do sanatoryum. W tym okręgu pewnym jest mandat posła sejmowego Witosa (ludowca). Kandydatura wszechpolsko-chrześcijańsko-socyalna dra Matakiewicza z Wojnicza, nie ma zupełnie poparcia chłopów z powiatu a temsamem nie ma żadnych szans przejścia.

W łonie samych wszechpolaków nie ma dotąd zgody. Część tej i tak małej grupy, chce wysunąć kandydaturę naczelnika poczty Huberta Lindego.

Rzeszów.
(*Telegram własny „Gazety Poniedziałkowej"*).

Postępowi wyborcy zamierzają wysunąć przeciw wszechpolakowi Drowi Jabłońskiemu kandydaturę wiceburmistrza Dra Romana Krogulskiego, postępowego demokraty. Kandydatura ta ma największe widoki powodzenia. W najbliższych dniach ma się utworzyć komitet dla poparcia tej kandydatury.

Rzeszów. Tutejsza partya socyalistyczna postanowiła przy obecnych wyborach do Rady Państwa, postawić własnego kandydata, którego osoba jest na razie zachowaną w ścisłej tajemnicy. Jak słychać kandydatem tym ma być socyalista, adwokat Dr. Pelzling, który przed 4 laty kandydował przeciw Bilińskiemu.

Kandydatury ludowców.

Nowy Sącz.
(*Telegram własny „Gazety Poniedziałkowej"*).

Pod przewodnictwem p. Stapińskiego, odbyło się w Banku Mieszczańskim w Nowym Sączu zgromadzenie mężów zaufania stronnictwa ludowego.

Wedle powziętych na tem zgromadzeniu uchwał, kandydatami stronnictwa na okręg Nowy Sącz Grybów mają być: Tomasz Ciągło z Podegrodzia, dotychczasowy poseł i Józef Kubisz, z Łyczany, były zastępca posła.

Bochnia. (Telegram). Grono poważnych tutejszych wyborców zamierza zwrócić się do dyrektora referenta krakowskiego Tow. wzaj. Ubezp. p. Paszkowskiego z prośbą o ubieganie się o mandat z naszego okręgu.

(O ile nam wiadomo, p. Dyr. Paszkowski nie myśli ubiegać się o ten mandat. Przyp. Red. Gazety Poniedziałkowej).

Powódź kandydatów.

(Telefonem).

Lwów, 16 kwietnia.

Przeszło dwa miesiące dzielą nas od wyborów do Rady państwa, a już roi się od kandydatów, z których aż do dnia wyborów co najmniej połowa odpadnie. Stronnictwa na razie układają plan wojenny, jak wzajemnie się zwalczać, a nie pamiętają o uratowaniu mandatów narodowo zagrożonych, ale o tem, jak przedewszystkiem zdobyć mandaty dla swojej partyi. Odnosi się to przedewszystkiem do narodowych-demokratów, których apetyty są nie do nasycenia. — Arcykapłan dr Grabski dniem i nocą przemyśliwa nad bezwzględnymi środkami prowadzącymi do zwycięstwa, a ostrzy sobie przedewszystkiem zęby na mandaty dra Bilińskiego, dra Battaglii, dra Germana i Breitera, którego równie namiętnie, ale prawdopodobnie bezskutecznie zwalczać będzie.... p. Grabski. Do dziś dnia jednak ani rząd ani narodowa demokracya nie znaleźli kandydata, któryby szedł w bój z dotychczasowym posłem II. okręgu wyborczego, jaki w geometryi wyborczej bł. p. dr Byk wykroił dla siebie, a którego spadkobiercą stał się na długie lata „lepszy — jak mówią żydzi — niż żyd Ernest Breiter. W okręgu tym głosuje 42 prc. żydow, 18 procent Rusinów i ci bezwarunkowo przeciw każdemu kandydatowi przechylą szalę zwycięstwa na rzecz p. Breitera. Rwie się wprawdzie do tej walki poseł dr Battaglia, rzutki i nieustraszony, jak mówią jego adherenci, ale szanse jego są minimalne.

O mandat z I. okręgu wyborczego ma się ubiegać dotychczasowy prezydent miasta p. Ciuchciński, który ma ustąpić miejsca p. Neumanowi, albo też prof. dr. Halban, przewodniczący komitetu mieszczańskiego przy ostatnich wyborach do Rady miejskiej. Ich kontrkandydatem jest wybitny członek postępowej demokracyi, architekt Hipolit Śliwiński, który jest kandydatem wszystkich postępowych żywiołów tego okręgu. Ze szczególną energią wszyscy zwalczać będą kandydaturę prof. dra Halbana, albowiem Lwów, który zawsze wysyłał do parlamentu demokratycznych posłów, uważałby sobie za hańbę, gdyby ze stolicy kraju miał przejść do parlamentu skrajny reakcyonista i obskurny klerykał.

Zacięta walka rozegra się także w okręgu III., skąd dotychczas posłuje dr Herman Diamand. — O mandat ten ubiegać się będą w pierwszym rzędzie syoniści, którzy okręg ten uważają za im się należący, bo to okręg żydowski. Nie zadecydowali jeszcze czy mają kandydować dotychczasowego posła brodzkiego Adolfa Standa czy też dra Leona Reicha, to jedno jest dla nich pewnem, że kandydat ten musi mieć możność i chęć „puszczenia“ kilkunastu czy kilkudziesięciu tysięcy koron.

Jako kandydat „rządowy“ ma gust wystąpić kupiec Maurycy Rappaport, członek Rady miejskiej i Izby handlowej i Zboru izraelickiego. Osobiście człowiek bardzo porządny, uczynny i o znacznej inteligencyi, ogółowi szerszemu jest zupełnie nieznany, a aczkolwiek w Radzie miejskiej i Izbie handlowej zasiada już od lat sześciu, nie przemówił ani razu, co chyba nie jest poleceniem dla kandydata na posła.

To też mandat dra Diamanda, którego pracę, pilność i parlamentarne wyszkolenie cenią nietylko przyjaciele, ale i nieprzyjaciele polityczni, uchodzi za pewne.

Tak samo pewnym jest mandat dotychczasowego posła Hudeca w VII. okręgu wyborczym, gdzie nawet nie stanie poważny kontrkandydat i mandat posła dra Głąbińskiego w IV. okręgu wyborczym, chyba, gdyby do kandydatury przecież dał się nakłonić p. Kędzior w przeciwieństwie do frazesowicza Głąbińskiego, rzeczywisty zwolennik budowy kanałów i gorliwy za tem agitator.

W okręgu V. przeciwko dotychczasowemu narodowo-domokratycznemu posłowi dr Tomaszewskiemu staje prezes stronnictwa postępowo-demokratycznego radny dr Aleksander Lisiewicz, którego też popierać będą socyaliści.

Przy ostatnich wyborach dr Tomaszewski, mimo teroru i korupcyi i pomocy rządu uzyskał zaledwie 21 głosów większości tak, że nie ulega wątpliwości, że mandat ten dla narodowej demokracyi jest straconym.

W okręgu VI. staje do walki przywódca socyalistyczny inż. Artur Hausner, a jeśli się zważy, że dotychczasowy poseł tego okręgu prof. dr Buzek wyszedł dopiero przy ściślejszem głosowaniu, przy pomocy głosów moskalofilów i większością zaledwie około 100 głosów, można i ten mandat uważać za stracony dla narodowej demokracyi.

Zupełnie zdaje się nie wrócą więcej do parlamentu syoniści, a galicyjski ich przywódca p. Stand szuka schronienia przedewszystkiem w Tarnopolu, gdzie podobno organizacya syońska ma być silną. Mandat jego w Brodach uzyska bez wątpienia pos. dr Kolischer.

Kto zresztą wie, co przyniosą dnie najbliższe?

Nadesłane

(Za tę rubrykę Redakcya nie odpowiada).

Z półek księgarskich.

(*eh*) *Leon Wiesenberg*. — „Dolorosa“. Dramat w 4 aktach. Kraków. Friedlein. 1911.

P. Leon Wiesenberg, autor dwóch utworów dramatycznych („Dwa światy“, „Ojciec“), dał w ostatniej swojej rzeczy, „Dolorosie“, dramat ściśle realistyczny, łagodząc jaskrawość środków lirycznymi ustępami, co wpływa ujemnie na zwartość konstrukcyjną samego dramatu. Dużo smutku i pesymistycznego na świat wejrzenia jest w tych czterech aktach. „Dolorosa“, to kobieta szlachetna, która mając do wyboru między szczęściem osobistem, jakie znajduje w zaślubieniu ukochanego człowieka, a zapewnieniem egzystencyi swej rodzinie przez małżeństwo konwencyonalne — woli obrać to pierwsze. Szczytu szczęścia nie można snadź osiągnąć bezkarnie, bez ofiar ciężkich; Rachela (Dolorosa) musi patrzeć na chorobę umysłową swego męża i wytrwała do końca nie cofnie się ani na krok z raz obranej drogi, nie opuści nieszczęśliwca, nie weźmie z nim rozwodu, mimo, że prze ko temu rodzina i nie dopuszcza jej do męża, który kona w szpitalu, samotny. Ostatnim wysiłkiem wydziera się dzielna kobieta do ukochanego, aby go zapewnić o stałej, niezłomnej wierności. Najwyższy czas; bo oto zastaje adwokata u łoża umierającego, wysłanego przez rodzinę, który chce na nieszczęśliwym wymódz konsens rozwodowy, okłamując go, że żona jest za separacyą. Silną jest scena, w której Rebeka zarzuca kłam nędznemu krętaczowi i niesie słowa ulgi i pocieszenia temu, dla którego wszystko poświęciła. Czara goryczy atoli jeszcze nie jest wychyloną; „Dolorosa“ skazaną jest na mękę patrzenia na agonię ukochanego, poczem, przeświadczona, że matka jej umarła ze zgryzoty przez nią — odbiera sobie życie.

Realizmu jest, jakeśmy wspomnieli, sporo w tej sztuce; przy takich scenach, jak przywidzenia psychopatyczne Hirsinga, czy równoczesna śmierć jego i Rebeki, dałaby się zastosować zasada: „weniger ware mehr“. Finał drugiego aktu (usiłowane samobójstwo Hirsinga) stanowczo nie umotywowany; za szybkie tempo wypadków. Na ogół jednak zaleca się cały dramat nader umiejętnem konstruowaniem efektów i wprawnem wprowadzeniem postaci (Siostra Beata).

(*eh*) *Helena Filochowska-Żmigrodowa.* „Nasz kruk“.

35 stronic, pisanych śliczną prozą, oddającą z niesłychaną subtelnością najtajniejsze drgnienia duszy. Pastelowa noweleta o gasnącej suchotnicy, śpiewaczce, konającej gdzieś w któremś z sanatoryów na południu, w jednej z tych trupiarń gruźliczych, urządzonych z komfortem. Stopniowe zanikania świateł życiowych przy nadchodzącym mroku śmierci — uchwycone zostało tutaj z dziwną delikatnością. „Nasz kruk“, tytuł nowelki, to nastrojowe symbolizowanie smutku, ogarniające duszę na myśl, że się będzie musiało odejść, aby nigdy, nigdy już nie wrócić. „Zjawia się w chwilach gdy dusze szarpane męką cichną i układają się do snu słodkiego na błękicie morza, jak mewy srebrzyste znużone długim lotem...“ Smutną i piękną jest ta książka i, mimo, że ją poprzedziły takie arcydzieła w tym kierunku, jak „Śmierć“ Dąbrowskiego i „Noc“ Wirskiego, daje się czytać z wielką przyjemnością.

Leopold Suesser: „Pan Mecenas“, komedya w 3 aktach (Kraków-Warszawa, Gebethner i Wolff, 1911).

Sztuka ta młodego autora, obecnie wydana drukiem, była swojego czasu wystawiona w Krakowie. Na deskach scenicznych zjednała sobie ona zupełny sukces, gdyż napisana jest żywo i z wybitnym nerwem scenicznym. Jak sam tytuł wskazuje, tłem sztuki są stosunki adwokackie, a sama rzecz jest raczej komedyą rodzajową, o zabarwieniu satyrycznem. Dzieło to ma wielkie zalety sceniczne, a w czytaniu interesuje zwartą budową, konsekwentnie rozwijającą się akcyą i wyraźnie narysowanymi charakterami. Bądź co bądź, sztuka p. Suessera jest owocem talentu, który życie artystycznie przetworzone umie skreślić w doskonałych barwach i świadczy zarazem o postępie w porównaniu z poprzedniemi jego pracami, jak „Grzechy dzieciństwa“ i „Tetmajer“. Nie

wnikając już w samą treść utworu, zaznaczyć jednak trzeba, że obok pięknej formy niektórych scen, rzecz sama jest bardzo sceniczną, a niektóre postacie występują nadzwyczaj plastycznie. Ze sceny wrażenie to jest podwójnie mocne. *W. Kor.*

Z literatury zdrojowisk.

Rok rocznie pochłaniają „bady“ zagraniczne bajońskie sumy z polskich kieszeni, mimo, że nasze miejsca kąpielowe w niczem nie ustępują uzdrowiskom obcym. Jeśli gdzie szukać zatem należy przyczyny tego smutnego zjawiska, to tylko w tem, że brak komfortu i europejskich urządzeń w całem tego słowa znaczeniu odstrasza polskich kuracyuszy.

Jedynym środkiem zaradczym w tym kierunku mogą być broszurki i przewodniki wydawane przez właścicieli zakładów leczniczych w polskich zdrojowiskach. Leży przed nami broszurka, informująca nas o urządzeniu Zakładu dyetetycznego dra Skórczewskiego w Krynicy. Zakład ten założony w r. 1888, odnowiono w r. 1907. Z pięknie napisanego przewodnika dowiadujemy się, że sanatoryum to, poczyniwszy wielkie inwestycye na rok bieżący, nie ustępuje obecnie w niczem zagranicznym urządzeniom tego rodzaju i jest, w ścisłem tego słowa znaczeniu, *comfortable.*

Nadesłane.

(Za tę rubrykę Redakcya nie odpowiada).

Kancelarya adwokata dr. Adolfa Meiselsa przeniesioną została do domu przy ul. Grodzkiej L. 12, II piętro.

Drobnostki krakowskie,

Z nastrojów świątecznych.

Wloką się dni całego roku w Krakowie, jak paciorki różańca, monotonnie, sennie. Nigdy się tu nic takiego nie dzieje, coby zostawiło silniejsze wrażenie, uderzyło układem kontrastów, grą barw. Życie, tłumione gwałtownie, tam i sam tylko buchnie gwałtownym krzykiem i, zdławione z podwójną mocą, milknie, gaśnie. Bo Krakowianin strzeże się przed każdym silniejszym odruchem, boleśniejszem przeżyciem i usiłuje zdarzenia życiowe układać w mozaikę wypadków już a priori przewidzianych, uklasyfikowanych. Rozkoszną jest atmosfera miękka, dyskretna, atmosfera matu i ćwierćtonu. To tak przyjemnie być „twórcą“ własnego życia z zegarkiem w ręku. Takie stylizowane życie nie lubi wrażeń z „zewnątrz“; co najwyżej: przegra ktoś swoje i obce pieniądze w karty, most się zawali na Wiśle, młodzież uniwersytecka poprosi delikatnie jakiegoś profesora, który się zabłąkał nie na swój fakultet, aby się przeniósł na swoje podwórko, — ot i wszystko; warto pokiwać głową, popatrzyć się i cofnąć się znów w „siebie“ „Byle polska wieś zaciszna, byle polska wieś spokojna“...

* * *

Na kilka dni zaledwie w roku rezerwuje sobie Krakowianin swoją rozlewność: na obchody narodowe i uroczyste święta. Czuje, że jest częścią całości; wypada mu zatem zająć godne stanowisko. „Dusza zbiorowa“ serca Polski, Krakowa, poczyna się wtedy żywiej ruszać, zdobywa się na pewną energię. Nawet krasa prastarych murów krakowskich, zazwyczaj melancholijna i cicha, ożywia się, traci swoją zmierzchową zadumę, a staje się cała linią i barwą, wtedy, kiedy nad Wisłą święci się jubileusz któregoś z znanych i cenionych, albo się któregoś z zasłużonych grzebie.

Niecodziennie jednak umiera jakaś sława, niecodziennie — jubileusz.

Pozostają święta uroczyste. Boże Narodzenie, Wielkanoc, Boże Ciało.

Tradycya i skupienie, wiara i poczucie dystansu — wszystko wtedy układa się z dziwną jakąś harmonią. Boże Narodzenie w zimie; roziskrzona, nieskalana biel śniegu, Pasterka krakowska, opłatek! (Krakowianin lubi bardzo swoje miasto w zimie.) Wielkanoc w ciepłem rozdrganem w słońcu powietrzu wiosennem!

Myśli barwią uroczyste święta purpurą tradycyi:

Wielki Czwartek i mycie nóg starcom na Wawelu, Zygmunt, ozywający się z dzwonami innych kościołów na Zmartwychwstanie Pańskie! Allelujah!

I dlatego nigdzie w całej Galicyi, nie przeprowadza się porządków przedświątecznych z takim pietyzmem, jak w Krakowie; kiedy gdzieindziej poczciwa pani Dulska sprowadza święta do czysto kulinarnego, gastronomicznego niveau, — w Krakowie, tradycya, pielęgnowana przez wieki, czyni już sama przedświeczny nastrój, uroczysty, niesłychanie poważny, serdeczny.

* * *

Jednocześnie są święta dla dostojnych rodów krakowskich niejako platformą, z której Nestorowie herbowi uczynić mogą przegląd swoich sił, swojej armii. Z nadejściem dni uroczystych poczyna się poruszać cała sieć koligacyi, parantel, zaciągnięta nad miastem, poczyna skrzypieć aparat nepotyzmu i protekcyi. Rozmaite odwieczne figury, krewni dalecy, antyki, pojawiają się przy opłatku, czy na święconem, aby dać świadectwo prawdzie, że „jeszcze-ć kupa nas, dobrze urodzonych“. Rewia. Ojcowie musztrują bacznem okiem rozmiar swej progenitury, decydują o przyszłości.

...Mówi na święconem hr. X., przygarbiony wiekiem, ale zawsze jeszcze pański, do księcia Y.:

— Póki żyję, robię ile mogę dla przyszłych pokoleń... Moja córka —

Tu pochyliwszy się szepce coś do ucha ks. Y.

Poczem głośniej:

— Jeśli będzie chłopak, kazałem dla niego zarezerwować docenturę estetyki na uniwersytecie krakowskim.

...Miną święta...

Pójdą po sobie dnie za dniami, jak paciorki różańca, monotonnie, sennie...

„Byle polska wieś“... *Lime Renneh.*

Codzienny nakład 40.000

Korespondencya Wyborcza

nadzwyczajny dodatek Gazety Poniedziałkowej wychodzić będzie codziennie o godzinie 7 wieczór.

Korespondencya Wyborcza

jako organ bezpartyjny i niezależny, podawać będzie najdokładniejsze sprawozdania z ruchu wyborczego do Rady państwa, omawiać będzie poszczególne kandydatury, dla okręgów wyborczych Bochnia, Chrzanów, Jarosław, Jasło, Kraków, Nowy Sącz, Rzeszów, Tarnobrzeg, Tarnów.

Korespondencya Wyborcza

wyjdzie w tych dniach. Aby podołać ogromowi nakładu, rozpoczęliśmy pertraktacye o druk

Korespondencyi Wyborczej

na rotacyjnej maszynie, a odnośne układy są na ukończeniu. Pojedynczy numer kosztować będzie 6 hal. i można takową nabywać w agencyach pism i trafikach w całym kraju. Adres Redakcyi: Kraków Zielona 8.

Codzienny nakład 40.000

Prosimy domagać się w kawiarniach, restauracyach i t. d. „Gazety Poniedziałkowej“.

GALIC. AUTO-GARAGE

W. USTYANOWICZ i SKA, KRAKÓW

ulica Smoleńska L. 31 & Telefonu L. 0107

ADRES TELEGRAFICZNY: USTYANOWICZ, SMOLEŃSKA 31

Mercèdés Grand Luxe

Łańcuch albo Kardan — Kegelwentyl albo Szyber

Jedyne zastępstwo na Galicyę

Warsztat reperacyjny Mercedesów i Opli

Największy galicyjski **warsztat reperacyjny samochodów,** wyposażony w najnowsze amerykańskie precyzyjne maszyny narzędziowe. — **Szlifowanie** cylindrów i wszelkich części okrągłych. — **Frezowanie** kół zębatych. — **Cementowanie** (nastalanie) części narażonych na silne zużycie. — Aparat do samorodnego spajania żelaza, stali oraz metali; lutowanie i naprawa odlewów aluminiowych. — Kuźnia i hartownia. — Wszelkie roboty tokarskie i frezowanie uskutecznione są według kalibrów tolerancyjnych. — Personal techniczny z pierwszorzędnych fabryk światowych. — Wszelkie roboty wykonujemy pod gwarancyą.

Metody „stosowane".

Dzisiaj „szkoła" wszystkiem. Każda szkoła ma swoją metodę. Jedną z najskuteczniejszych, to przyzwyczajanie do posłuchu i bierności.

Przyzwyczajenie robi i znaczy wiele. Wiedzą o tem i u nas w Krakowie i przyzwyczają nas, trenują par force do wielu rzeczy, aby nas odpowiednio „urabiać". Tak dzieje się z ogółem obywateli w sprawach naszej polityki lokalnej, tak w rzeczach tyczących dobra publicznego, piękna sztuki, przekonań członków przeciwnego obozu, gruntów, posad, wyborów i t. p. Wsiada się na „ideę", jak na wierzchowca i jedzie się na niej bez upamiętania, a z pominięciem przepisów o szybkiej jeździe — często na oklep i bez pojęcia, więc spada się co chwilę, ale to nic. Biedna idea i biedni ludzie, co mają udawać, że wierzą w tą grę, rozsądnym przypominającą ciuciubabkę. O, niestety, nie brak rozsądnych, ale zmuszonych udawać, że wierzą. Tego żąda się od nich w sposób namacalnie stanowczy pod warunkiem, którego mianem jest: byt. Co do tego wymuszania, to wyrobiła się u nas doskonała szkoła, mogąca być wzorem dla największych, a prawdziwych stolic. Gdyby ona rozstrzygać miała o stopniu i napięciu kultury, my stanęlibyśmy na pierwszem miejscu w starej Europie!

Środki do celu bywają różne. Jednym z nich jest np... „Czas". Celuje on w konsekwentnej bezwzględności i w pobożnem wstecznictwie, stojącem w odwrotnym stosunku do zręczności i skutków „stosowanej" metody.

Począwszy od przytaczania menu z szczegółami u hrabstwa X. na Ukrainie, skończywszy na głosce „p" zamieszczanej stale przed nazwiskami Stołypinów, Hollwegów i t. p., wreszcie na całych szpaltach o meczach piłki nożnej w Keczkemet i t. d., wszystko ma swój cel ugodowo-treningowy. Są to przygrywki do wielkich lekcyi szkoły biernego sposobu myślenia, abecadła siły stronnikom, zaciemniania horyzontu społecznego dla interesów partyi własnej, wyrobienia muzykalności politycznej, jednostronnej dla dla dobra batuty redakcyjnej, i innych tego rodzaju t. zw. „idei". Przetłómaczywszy na język praktyczny: od idei się zaczyna, ideą wojuje się nie dla idei. Ona jest środkiem do celu, jednym z najdzielniejszych, a „stosowanie" jej jakości, dawek, nadawanie jej każdorazowo w miarę potrzeby innych form to wielki dział wiedzy praktycznej. Doń potrzebne są: znajomość stosunków, psychologia znawstwa ludzi, przypominającego w sposobie posługiwania się niem, towaroznawstwo, specyalna nauka o mamieniu, a niedotrzymywaniu obietnic. Kastowość, w traktowaniu mniej lub więcej potrzebnych indywiduów, metoda różnego kłaniania się przed i po wyborach, sztuka narzucania zmiany przekonań całym grupom naraz, wykluczanie jawności na posiedzeniach, transakcyi niebywale dla ogółu korzystnych z krzywdą swej własności, która zupełnie przypadkowo w rejonie niemi objętym leży, zimna krew na wszystko i nie reagowanie na nic, etc., etc. „Almą mater" tych „metod stosowanych" bywają koterye o wypróbowanej sile i takiejż użyteczności publicznej, a profesorami wybitni ich członkowie o znanem zaparciu się własnego „ja".

Na uczniów wybiera się przedewszystkiem ludzi zależnych i tych klasyfikuje się najostrzej, chętnie widzi się uległych i biernych, nie przyjmuje się zaś jednostek zatwardziałych w swych przekonaniach, różniących się zbytnio od sposobu myślenia pana profesora. Rektorzy zmieniają się rzadziej z własnej woli, częściej z konieczności przeżycia się i stracenia gruntu pod nogami, wyjątkowo, ale i to bywa, z powodu zaparcia się nie jeden raz głoszonej przez siebie nauki na skutek otrzymania bardziej „idei"(?!) ich odpowiadającej posady.

Trudno jest znać siebie. Trudniej więc powinnoby było być znać innych. Tymczasem tak nie jest, przynajmniej w Krakowie nie jest tak. Jakkolwiek „wielki" on, jednak nie tak wielki, aby nie można ze skutkiem stosować przysłowia: „wiedzą sąsiedzi, na czem kto siedzi". A różni różnie i na różnych siedzą tu rzeczach.

Wie się więc i to bywa dla niejednego właśnie niepożądanem. Tak; wiemy, że u nas, kiedy potrzeba to nazywa się, że jest za wiele ludzi, ale wiemy też, że gdy chodzi o czyn, to niema ludzi. Wiemy, że wolno, gdy się jest uprzywilejowanym, burzyć całe baszty, jakkolwiek nie są pamiątkami narodowemi, ale także wiemy, że nasi p. t. konserwatorzy (miano pochodzi od konserw), nie chcą pozwolić czasem na darowanie cennej rzeźby kamiennej muzeum narodowemu, twierdząc, że ta powinna ostać się na domu mniej względami ich cieszącego się właściciela, który jednak zrzeka się dla dobra ogółu rzeźby ocenianej na sto tysięcy koron.

I to ma być ustawą zagwarantowane, nieograniczone prawo własności? Tak trenuje się nas mimo konstytucyi, tak rozszerza się we własnym zakresie, lokalnie, autonomię. Piszący te słowa ma od 5 lat parę starych kaloszy, dziurawych już, których boi się wyzbyć. A nużby panowie konserwatorowie......? Tak to, gdy się nie jest dobrze u góry widzianym!

Korespondencye.

Bochnia, dnia 15 kwietnia 1911.

Mieszkańcy naszego brudnego miasteczka, mający sposobność oglądać wiosenne roboty zarządu miasta Krakowa, powracają po załatwieniu interesów do domu, z rozgoryczeniem na obojętność naszego zarządu miejskiego, którego blizka wiosna wcale nie wzrusza; prócz wywożenia kup śmiecia błota i popiołów, brak jakiegokolwiek śladu ze strony magistratu przynajmniej okazania dobrych chęci. Nie mówi się tu o jakich nadzwyczajnych wydatkach, ale o najprymitywniejszych i wiele kosztów pociągających robotach, któreby gminie uszczerbku nie przyniosły.

O ile mi wiadomo w budżecie miejskim w wydatkach, figuruje pozycya „Pensya ogrodnika miejskiego". Zapytuję szan. mieszkańców, czy widział kto i kiedy ogrodnika miejskiego w Bochni, zajętego obcinaniem lub w ogóle porządkowaniem drzew na wiosnę. Drzewa te rosną, jak im się podoba, nigdy nie obcinane, gałęzie przez wiatr połamane sterczą jak symbol nędzy i rozpaczy, niezabezpieczone od uszkodzeń, marnie wegetują, stanowiąc klasyczny obraz obojętności zarządu miasta i niczem nieusprawiedliwionego niedołęstwa. To samo odnieść można do niechlujstwa w całym śródmieściu.

Jedyny wózek ręczny do śmieci, mający za sobą całą historyę, gdyż walczono o sprawienie go na radzie miejskiej przez 3 lata, nie pokazuje się nigdy na ulicach, ze sklepów wyrzucają na chodniki zupełnie bezkarnie, wszelkie odpadki, papiery, śmieci i t. p. delikatesy, policya tego nie widzi lub widzieć nie chce, a jaskrawym tego przykładem leżąca kupa gruzu w najgłówniejszej ulicy naprzeciw magistratu, przez 8—10 dni tamująca przechód i przejazd tą ulicą. Czynność i energia policyi miejskiej, zaznacza się najwyraźniej podczas wyborów do rady miejsk. Sprawy takie, jak porządki w mieście widocznie w zakres działania policyi bocheńskiej nie wchodzą. Na wystawianie gabilot z towarami na i tak już wąskie dosyć chodniki, policya również nie zwraca uwagi, części garderoby, parasole, laski, wiszą dalej nad głowami przechodniów, ale właściciele tych przedmiotów, to wyborcy, którym narażać się nie można, bo i tak garstka zwolenników rządów p. burmistrza z dniem każdym maleje, zewsząd słyszeć się daje nie bardzo pochlebna krytyka tych rządów, zwłaszcza od osób z innych miast do Bochni przybywających.

Wracając do sprawy w jednej z dawniejszych korespondencyi poruszonej, a dotyczącej rachunków wodociągowych, którą korespondent bocheński w jednym z dzienników krakowskich jako nieprawdziwą odeprzeć usiłował, twierdząc, że rachunki są w największym porządku, muszę zaznaczyć, że rachunki te do dnia dzisiejszego jeszcze radzie miejskiej przedłożone nie zostały, Słychać także w mieście o znaczniejszej pretensyi, bo przeszło 30.000 K wynoszącej, jaka się ma przedsiębiorcom budowy wodociągów jeszcze należeć. Prawdopodobnie sprawa ta wejdzie niedługo na drogę procesu sądowego.

Nowy Sącz, 16 kwietnia 1911.

(*Wybory. — Związek ekonomiczny. — Odczyt o literaturze rosyjskiej. — Nowi radcowie miejscy*).

Porównując sytuacyę lokalno-polityczną w naszem mieście, w czasie ostatnich wyborów do parlamentu z dzisiejszą, zauważyć musimy znaczne, lecz wytłómaczone różnice, objawiające się przedewszystkiem w zupełnie odmiennym wzajemnym stosunku rozmaitych partyi, a nadto z jednej strony w pozbawieniu magistratu przemożnego sojusznika w osobie potentata-propinatora, zaś z drugiej w zupełnej impotencyi politycznej, niegdyś wielkie znaczenie i wpływ posiadającej partyi mieszczańskiej.

Ale burmistrz nasz, dr. Barbacki czuje się zapewne, mimo braku sojuszu z propinatorem dosyć pewny swego, o czem świadczy bodaj jego jazda do Wiednia, w celu zwrócenia się do eks-ministra dra Korytowskiego z propozycyą, czy też z prośbą, by raczył przyjąć ewentualny mandat z miasta naszego.

W ostatnich wyborach rola burmistrza nie przedstawiała tak wielkich trudności, gdyż w popieraniu kandydatury radcy Germana byli mu pomocnymi tutejsi narodowi demokraci, który obecnie wcale o dr. Korytowskim nie myślą, szukając na wszystkie strony „kogoś ze swoich". I wyszukali sobie radcę dworu Zborowskiego, dyrektora kolejowego z Krakowa. Mając do dyspozycyi własny telefon i telegraf, ogłosili światu, że demokrata (sic!) Zborowski jest postępowym, i że on cieszy się sympatyą całego miasta, ba, trzech miast! Ot, blaga, jak wszystkie blagi wszechpolskie! Panu Zborowskiemu, jako kandydatowi zgotujemy takie ciepłe przyjęcie, że natychmiast pozna się na naszej sympatyi...

Wara narodowym demokratom narzucać nam kandydatów i traktować nas jak małoletnich dzieciaków! Zasługi p. Germana, tego prawdziwego rzecznika naszych interesów są zbyt wielkie, aby nam wolno było opuszczać go teraz, kiedy ławą przeciwko niemu idą endecy!

(Pomówimy zresztą o tem obszerniej w „Korespondencyi wyborczej").

No, a P. P. S. D.? Polityka socyalistów ogranicza się dotąd, jak się zdaje, do zupełnie biernego wyczekiwania chwili, w której „tamci" kandydaturę postawią, poczem dopiero oni stosownie do szans i innych ewentualności odkryją tajemnicę otaczającą ich kandydata. Zupełnie logiczna „dyplomacya".

Co do nieistniejącej już partyi mieszczańskiej, owej sławnej, o bohaterskiej przeszłości opozycyi, to dotychczas nie przedsięwzięto z tej strony żadnych kroków przedwyborczych w celu postawienia swego kandydata, jak to miało miejsce w 1901 roku, dlatego też przypuszczać należy, że stanowisko opozycyonistów zależeć będzie od chwilowej sytuacyi wyborczej.

Z inicyatywy kilku ruchliwych jednostek powstał w Nowym Sączu związek ekonomiczny urzędników, profesorów i nauczycieli, którego Walne Zgromadzenie, z powodu zatwierdzenia statutu przez Namiestnictwo, odbyło się w ubiegłym tygodniu w sali ratuszowej. Wynik wyborów członków zarządu na rok 1911 przedstawia się następująco: Prezes Bernard Pilcer, inspektor podatkowy; członkowie: Andermann, Bochenek, Dratwa, Obrzud, Racieski, Reguła, Rysiakiewicz, Serafin; zastępcy: Dagnan, Gutwiński, Tawiński; komisya rewizyjna: Gołębiowski, [illegible], Zajączkowski. Liczba członków Towarzystwa wynosi 200 osób.

Znany nam z pięknego odczytu o „Tołstoju" wygłoszonego u nas przed kilku miesiącami, p. Ozapiński z Krakowa, miał sposobność zachwycić nas znowu swą ujmującą wymową w odczycie o najnowszej literaturze rosyjskiej. Odczyt ten urządzony przez tutejsze koło uniwersytetu ludowego zgromadził niezwykle liczną publiczność, u której sympatyczny prelegent znalazł zasłużone uznanie.

W miejsce zmarłych niedawno radców miejskich prof. Dułębowskiego i radcy sądowego Czachurskiego, powołała rada miejska adwokata Juliusza Chodackiego i radcę sąd. Jagoszewskiego.

Tarnów, 16 kwietnia 1911.

(*Z Rady miejskiej. — Jeszcze w sprawie nowej propinacyi. — Wypadek przy fabrykacyi likierów. — „Hygiena" szynkarki. — O kahale słów kilkoro...*)

Z początkiem ubiegłego tygodnia odbyło się pod przewodnictwem burstrza dra Tertila posiedzenie Rady miejskiej. Na wstępie dowiedzieliśmy się ku wielkiej radości, że rząd nie będzie odwlekał budowy sądu, lecz z początkiem lata położone zostaną fundamenta pod te, tak potrzebne gmachy. Następnie załatwiono cały szereg spraw porządku dziennego; mianowano p. Sypka urzędnikiem konceptowym magistratu, przyznano urzędnikom i służbie miejskiej dodatek drożyźniany, zakupiono kilka parcel na rozszerzenie ulic, odbyto dłuższą dyskusyę nad sprawą szkolnictwa ludowego i uchwalono w tej materyi cały szereg wniosków magistratu. Najwyższy to był czas zaprawdę, aby magistrat zorganizował te kilka szkół i dodał kilkanaście klas, aby zaradzić tem wielkiemu analfabetyzmowi dzieci. Pożyczka 260 tyś. koron zdaje się tylko trochę za małą na ten cel. Ku wielkiemu zdziwieniu znaleźliśmy na porządku dziennym wydanym przez burmistrza punkt 18 (L. 5251) t. j. „prośbę Zarządu dóbr ks. Sanguszki o pozostawienie składu spirytusu w magazynie realności propinacyjnej". Sprawa ta powinna była być przez burmistrza, czy magistrat ex praesidio odrzucona, gdyż utrzymywanie tak wielkiego magazynu w realności magistratu przy najgłówniejszej ulicy jest — jak już raz pisaliśmy — połączone z wielkiem niebezpieczeństwem ognia. Dziwić się też musimy, że burmistrz zezwala na to, aby znany agitator, obecnie dzierżawca prawa poboru opłat od spirytusu i. t. d. sojusznik księżnej-szynkarki przychodził na posiedzenia Rady i podczas posiedzenia (jak to miało miejsce na ostatnim), agitował wśród radnych za przyjęciem prośby swej kompanietki ks. Sanguszkowej! Wszak to obniża bardzo powagę Rady! Tę nową „propinacyę" naszej szanownej księżnej należy bezwarunkowo stamtąd usunąć, z tego jeszcze powodu, aby wreszcie położyć kres tej konkurencyi z biednymi szynkarzami. Z drugiej z nów strony pożądanem jest, aby władze

sanitarne baczniejszą zwróciły uwagę na stosunki hygieniczne, panujące w niektórych szynkach, aby nie zezwolić na to, by sami szynkarze fabrykowali likiery i dawali ludowi naszemu pić lichy towar za drogie pieniądze. Dwa wypadki, które miały miejsce w ubiegłym tygodniu, nie powinny ujść uwagi władz sanitarnych — aby w przyszłości temu zapobiedz.

Oto największa tutejsza szynkarka Lea Traumowa sprzedała kapralowi obrony krajowej Bieleckie mu za 56 hal. flaszkę wódki, na której była etykieta „kwas karbolowy", a i wewnątrz znajdowała się jeszcze reszta karbolu; to też wódka miała „śliczny zapach"! Policyi doniósł o tym fakcie p. Jan Litwiński, który przyniósł corpus delicti do inspektoratu policyjnego.

Szynkarz z ulicy Lwowskiej Leon Rottenberg, zajęty w piwnicy swej fabrykacyą likierów z olejków essencyjnych, poparzył się bardzo silnie wskutek wybuchu spirytusu. Przy robocie tej miał Rottenberg zwykłą świecę, która spowodowała — zdaje się ten wypadek.

Kahał... to prawdziwe źródło senzacyi! Dzieją się tam rzeczy, o których się nie śniło ani filozofom! Kilka takich kwiatków kahalnych dzisiaj doniesiemy. Kahał chce sprzedać dotychczasowy szpital żydowski i wybudować nowy. Na całym świecie praktykowany zwyczaj rozpisywania publicznej licytacyi nie był na rękę panom z kahału; chcieliby oni lepiej sami się podzielić „spadkiem" szpitalnym. A więc proponują taką sprzedaż: (difficile est satiram non scribere!) połowę kupi prezes kahału p. Józef Maschler za 36 tyś. koron, resztę zaś wspólnie jego stryjkowie pp. Józef Maschler jun. i Markus Maschler. Wprawdzie prezes zamierza tam z z fundacyi bł. p. Mendla Maschlera zrobić „Dom starców", ale mimo to nie zgodzili się niektórzy radni na taką sprzedaż z wolnej ręki i rozpisano licytacyę. Wszystkich oferentów, którzy się zgłaszali do kahału odmawiano tam od kupna (!!!) aby w ten sposób zmusić niejako radę wyznaniową do przyjęcia propozycyi pana wiceprezesa; prawdopodobnie przyjdzie też wiceprezes na następne posiedzenie z tem, że nie było żadnych oferentów". Tak rządzi pan wiceprezes!

Z dniem 1 lipca przeprowadza się kahał ze swego dotychczasowego lokalu do domu własnego t. zw. „Debory Wechsler". Ponieważ nie ma tam odpowiedniego mieszkania — sali na posiedzenia — radził będzie kahał w znanym lokalu agitacyjnym w lokalu konwentyklów i macherek wyborczych kahału w ...eskompcie. A więc druga senzacya: kahał w eskompcie!

Nasza zwierzchność gminy wyznaniowej nie zadawalnia się samą tylko polityką lokalną. Chciałaby ona odegrać także pewną rolę przy wyborach do parlamentu. Z redakcyi kahału wychodzi więc pierwsza w naszem mieście odezwa wyborcza. Nawołuje więc kahał Żydów do zajęcia stonowiska wobec wyborów, apeluje sam do siebie, sekretarz do wiceprezesa, aby zwołał w tym celu zgromadzenie, gdyż — jak mówi odezwa — Żydzi są przy wyborach w Tarnowie potęgą i „liczyć" się z nimi potrzeba. Zastrzega się jednak na wstępie, że nie myśli broń Boże ani chwili o tem, aby zajmować stanowisko nieprzychylne kandydatowi rządowemu! Czy nie arcykomiczne? Kahał, który od dawien dawna szedł ślepo w usługi rządu i zawsze popierał (o ile oczywiście mógł?!) ślepo kandydata rządowego chce zajmować stanowisko... Zdaje się, że panowie z kahału spać nie mogą z tego powodu, że się z nimi dotąd żaden kandydat nie „widział", że się z nimi nie liczy, względnie, że im nie „doliczy"... Obecny kahał nie ma żadnego wpływu, ani zaufania, ani poważania wśród tarnowskich Żydów, to też nie powinien się spodziewać, że przy stawianiu kandydatur jego zdania ktokolwiek zasięgał będzie!

Rzeszów, dnia 13 kwietnia 1911.

(*Dr. Jabłoński przy „robocie", a Dr. Hochfeld w kłopocie. — Ozdoba Rzeszowa. — Sprawa prywatnego gimnazyum żeńskiego. — Czeski zbrodniarz w gościnie.*)

Burmistrz Dr. Jabłoński, „gruboskórny" kandydat wszechpolski nie przestaje — jak to już zresztą z góry było do przewidzenia — ani na chwilę myśleć o mandacie poselskim do Rady Państwa, dowodem czego fakt, że już rozpoczął „robotę" od zwołania poufnego zebrania swoich „oddanych" do Kasy oszczędności. Zaproszenia przez p. burmistrza wysłane oznajmiły, że celem tego zebrania będzie omówienie sprawy jego, jakoteż i całe miasto obchodzącej. Toteż „oddani" nie chcąc pozostawić biednego kandydata jedynie łasce Opatrzności, gonili co tchu starczyło na zebranie. Po wyjaśnieniu tej ważnej sprawy pokazało się, że nawet między „oddanymi" istnieją różne zapatrywania, co do kandydatury burmistrza, a niektórzy z nich w sposób niedwuznaczny dali mu do zrozumienia, że nie ma czego szukać w Rzeszowie. P. burmistrz jednak udawał, że się na tem nie poznaje i oświadczył, że kandydaturę swoją podtrzymuje. Toby jeszcze nie wprawiło w tak wielki kłopot asesora miejskiego, — bo robić wybory on już potrafi — ale jak grom z jasnego nieba musiała na niego podziałać enuncyacya burmistrza, że wszelkiemi siłami będzie zwalczał kandydaturę Ekse. Bilińskiego, gdyby ją tenże w mieście postawił. Nie dziwimy się w cale, bo w takim kłopocie p. Dr. Hochfeld może jeszcze nigdy nie był. Więc też p. Dr. Hochfeld chodzi zdenerwowany i ciągnie guzy: Jabłoński czy Biliński? Zwalczać dobrodzieja miasta Bilińskiego nie może, Jabłońskiego tembardziej nie może i stąd trudna decyzya. Jedynem wyjściem z tej przykrej sytuacyi byłoby, gdyby Dr. Hochfeld się wcale do wyborów obecnych nie mieszał, ale należy bardzo wątpić, czyby Dr. Hochfeld mógł cicho siedzieć podczas całej kampanii wyborczej, tembardziej, że prócz tych dwóch kandydatów będziemy mieli jeszcze nie jednego.

Do główniejszych ulic naszego miasta należy ul. Kościuszki, a przynajmniej ma wszelkie dane, by za taką uchodzić. Ale czy do tych danych zaliczyć także należy hotel „Luftmaszyna"? Widocznie się ten „hotel" podoba naszemu Magistratowi, skoro toleruje aby taki bajzel się znajdował na jeśli już nie najgłówniejszej, to przecież na najbardziej uczęszczanej ulicy. W żadnem innem mieście by czegoś podobnego nie ścierpiano, tylko u nas jest to możliwe.

Białogłowy o bardzo wątpliwej wartości moralnej, spełniają niby funkcye pokojówek, wystawają na bramie i w oknach „hotelu", prawiąc przechodniom (naturalnie płci męzkiej) same za siebie mówiące komplementa, aby w ten sposób zwrócić ich na siebie uwagę. Wielkie szyldy oznajmiają mającym chęć przestąpić progi „hotelu", że można tam jeszcze coś dostać: wino, piwo, herbatę, przekąski i t. d. Toteż niejeden obcy, nie znający stosunków rzeszowskich, wstąpi tam dla posilenia się trochę ale jakie on stamtąd wyniesie wrażenia, to już jego rzecz. Pominąwszy już opinię, jaką mają obcy o Rzeszowie, widząc coś podobnego na jednej z głównych ulic, to zapytać się musimy, czy Magistrat nie wie, że stosunki panujące w „hotelu Luftmaszyna" wywołują ogromne zgorszenia publiczne i że dla takiego hotelu istnieją inne ulice, a nie ulica Kościuszki, na której ruch codzienny do późnego wieczora jest olbrzymi? Na wołowej skórze nie spisałby tych awantur nocnych w „hotelu", wyprawianych przez jakieś indywidua z pod ciemnej gwiazdy. Czas więc najwyższy by magistrat się sprawą tą zajął, by spowodowano właścicielkę, ażeby swój „hotel" przeniosła tam, gdzie najodpowiedniesze dla niego miejsce.

Przed kilku miesiącami zawiązał się w mieście naszem komitet, mający na myśli akcyę przygotowawczą w celu założenia przyszłego gimnazyum żeńskiego. W skład komitetu weszły wpływowe osoby, które zaraz wdrożyły odpowiednie kroki celem zrealizowania projektu oraz jak najrychlejszego uzyskania dla tej szkoły prawa publiczności. Na szczególne uznanie zasługuje pełna poświęcenia praca pań: Seidlowej, Dr. Elsnerowej i Rylskiej, oraz przewodniczącego komitetu p. Dr. Krogulskiego. Przed kilku dniami odbyło się posiedzenie komitetu, na którem uchwalono już z dniem 1 września b. r. otworzyć I klasę oraz kurs przygotowawczy do klasy V. — Należy jeszcze nadmienić, że Wydział Kasy oszczędności uchwalił na posiedzeniu w dniu 6 bm. z czystego zysku za r. 1910 subwencyę dla tego zakładu w wysokości 1000 kor.

W niedzielę 9 bm. zwróciła na siebie uwagę spacerowiczów z Pańskiej ulicy grupka złożona z 3 osób: inspektora policyi, policyanta i jakiegoś jegomościa bardzo podejrzanej konduity, zmierzająca w stronę sądu. Policyant trzymając swego jegomościa aż obiema rękoma, kroczył z powagą właściwą najdolniejszym detektywom, a tuż na nimi p. inspektor. Nie przypuszczał Jan Rok z Horzowic (Czechy), że spędzi tegoroczne Święta Wielkanocne pomiędzy murami rzeszowskiego więzienia sądowego. Gdyby nie czysty przypadek, czy poszukiwany przez władzę już od 2 lat niebezpieczny zbrodniarz nie bujałby jeszcze na wolnem powietrzu i czyby go kiedykolwiek dosięgła ręka Temidy? Nieszczęście chciało, że Rok dostał się na policyę, podejrzany o włóczęgostwo i że podczas przesłuchiwania go przez inspektora p. Lustiga pokazało się, że jest to ów Jan Rok, którego sąd w Pradze od 2 lat poszukuje i za którego przyłapanie wyznaczył nagrodę w kwocie 1000 kor. Rok ma na sumieniu morderstwo popełnione w r. 1909 na osobie ścigającego go policyanta praskiego Bartosza, z które jeszcze nie odpowiadał, a burzliwa przeszłość jego, której część spędził w różnych zakładach karnych dowodzi, że bardzo często popadał w konflikt z kodeksem karnym. Sąd w Pradze został już o tym niespodziewanym wcale połowie zawiadomiony.

Jarosław, 15 kwietnia.

(*Z sytuacyi przedwyborczej*).

Po burzy parlamentarnej, niby grom uderzyła mieszkańców naszego miasta wiadomość, iż dotychczasowy poseł jarosławski, burmistrz dr. Dietzius, nie będzie się o mandat jarosławski ubiegał. Wśród ulewy kandydatów, jaka spadła na nasz powiat, jest upatrzonych aż dziesięciu kandydatów, z których ośmiu wymieniono w ostatnim numerze „Poniedziałkowej Gazety". Dziesiątkę kandydatów na reprezentantów miasta i na pobieranie dyet poselskich uzupełnią nazwiska właściciela fabryki pierników w Jarosławiu St. Gurgula i sejmowego posła z wiejskiego naszego okręgu Witolda ks. Czartoryskiego, którzy wedle krążących pogłosek mają apetyt na nasz mandat miejski. Nikt jednak tych dwóch ostatnich kandydatów nie bierze na seryo. Nie mamy zamiaru dziś bawić się w przypuszczenia, który z dziesiątki opatrznościowych mężów Jarosławia ma widoki wyboru, kandydatury te bowiem żadną miarą nie są jeszcze ustalone. Chcielibyśmy tylko urbi et orbi wyłuszczyć przyczyny, dla których wedle wszelkiego prawdopodobieństwa dr. Dietzius jest zniechęcony do piastowania tego bądź co bądź wielce zaszczytnego i obywatelskiego obowiązku. Przyczyną tego jest nie tyle nadwątlony stan zdrowia, ile zgnilizna politycznych stosunków, wytworzona w ostatnich czasach w naszem mieście przez pewne wpływowe na wet jednostki. Echem tych stosunków był pamiętny proces wytoczony z końcem z. r. 23 radcom miejskim przez ks. kapelana Płachetkę, a smutnym dla owej klerykalno-wszechpolskiej opozycyi epilogiem ostatnie wybory na 18 radców miejskich, odbyte z końcem stycznia b. r., przy których poniosła sromotną klęskę. Dr. Dietzius bowiem wówczas z całą listą magistracką na 1660 oddanych głosów otrzymał 1656. Zdaje się, że większego dowodu zaufania mieszczaństwa złożyć nie mogło swemu burmistrzowi, który nigdy narodowym demokratą we właściwem tego słowa znaczeniu nie był, a którego poglądy szczerze demokratyczne są u nas powszechnie nie ze słów, lecz z czynów znane i one były powodem tych zakulisowych napaści czynników, które przez sieć intryg zamierzały podkopać powagę dra Dietziusa, by się potem na włodarzy miasta wybić. I dlatego też dziwić musi każdego, iż takie zakulisowe machinacye mogły na decyzyę burmistrza w tym względzie wpłynąć. Obecnie panuje pod względem kandydatur taka dezoryentacya, że właściwie sytuacya wyborcza jest jakby grubą mgłą osłonięta. Pewnem jest tylko, że w razie niekandydowania dra Dietziusa, ubiegać się będzie o mandat dyr. gimn. Rychlik, jak słychać nawet na program demokratyczny. Kandydatura ta jest jednak wielce niepopularna. Jedynie dr German wedle ogólnej opinii w razie jego kandydowania u nas miałby wybór zapewniony. Dr. German bowiem jeszcze z czasów pełnienia obowiązku profesora tutejszego gimnazyum cieszy się u nas powszechną sympatyą. Kandydatury konserwatywne lub klerykalno-wszechpolskie najmniejszych widoków powodzenia u nas nie mają. Warto przypomnieć, że w r. 1907 kandydat socyalistyczny przeciwko bądź co bądź popularnemu burmistrzowi drowi Dietziusowi zebrał 1000 głosów. W razie niewystawienia prawdziwie demokratycznej kandydatury, kandydat socyalistyczny miałby poważne szanse wyboru.

Przemyśl, 15 kwietnia 1911.

(*Niepogoda kandydacka. — Przemyskie tutti frutti. — Tanie ryby goście jedzą. — Pomyłka policyjna*).

Choć chlapie z niebios co nie miara i deszcz wciąż mruczy w rynnach, choć błoto i wichura, jednak jedna cząstka naszego społeczeństwa przemyskiego żali się na posuchę — na brak kandydata, któryby zakasał rękawy i głęboko jedną ręką sięgnął do kieszeni, a drugą po — mandat poselski.

Mieliśmy wprawdzie „za sobą" jeden pełny tydzień kandydatów narodowych, niby grzybów w barszczu polskim, ale były to tylko godności ad honores względnie dishonores — tem milsze, że jednodniowe i jeszcze mniej trwałe od srebrnego krzyża zasługi z 2 ma koronami. Mam jeszcze jedno „wprawdzie" w kajecie i z miejsca je zużytkuję. Wprawdzie mandat poselski rzecz „łakomsza" od prawdziwie włoskich „tutti frutti", ale jakże go trudno przełknąć w Przemyślu, przeciw woli socyalistów, którzy wysunęli kandydaturę najpopularniejszego w mieście obywatela dr. Hermana Liebermana, b. posła do parlamentu. Kliczka rozpuściła swoje zagony po wszystkich zakątkach kraju w poszukiwaniu za odpowiednim „kandydatem", któryby posiadał pugilares i sumienie kapitalistyczne. Leży to głównie w interesie kapłanów narodu polskiego w przemyskiej prowincyi, którzy już więcej łakną pieniędzy niż samego kandydata. O takiego zaś człowieka, któryby miał odwagę postawić tak wysoką stawkę na totalizatorze wyborczym, bardzo, bardzo trudno. W kraju bowiem panuje niezwykła nędza — ot jak zwykle na przednówku, przed Wielką Nocą. Nawet jajka pomalały w tym ogólnym kursie deminutywnym. Są one małe i drogie, cóż dopiero kandydaci narodowi i to w takim Przemyślu, który po tamtej stronie zeszedł na trybulca czyli jedną z najśmieszniejszych postaci na politycznym bruku tutejszym. Jego „zgromadzenia" ze Żelakiem w Przyjaźni, w Kole Pań T. S. L. i w tym podobnych kontradykcyach są nieprzebraną krynicą humoru. Temu lekarzowi przychodzi bardzo łatwo sztuka przelewania z pustego w próżne, bo ma (dosłownie!) otwartą głowę a przemawia przed pustemi ławkami.

Natomiast z pełnego czerpali dwaj złodziejaszkowie Pobuta i Leńczyk, którzy od pewnego czasu odkrycia skandalicznej afery ex posła Paducha czerpali pełnemi garściami z pełnych kadzi ryby, należące do I. przemyskiej spółki rybaków przy ul. Lipowej górnej L. 27. Tak tanio nabyte ryby pozbywali po cenach bardzo dostępnych, wprost konkurencyjnych — pierwszorzędnym tutejszym restauratorom. Między innymi zaopatrzyli na święta kuchnię restauracyi kolejowej I klasy p. Lubina Dienstla, który zakupił od spółki rybaków nocnych „Pobuta i Leńczyk" karpie po 1 K 60 hal. za kilogram, podczas gdy cena targowa wynosiła 2 K 40 hal. Pan Dienstl zrobił tedy na tej brudnej sprawie interes czysty jak bursztyn, choć niewiadomo jeszcze jak na tą aferę spojrzy sąd karny, dotąd pokrzywdzeni handlarze z krzykiem — mimo przystawania z niememi rybami — skierowali się ze swojemi pretensyami.

Tam też podała pewnego policyanta pewna pani z towarzystwa — żona wyższego (wysoki parter!) urzędnika kolejowego, która padła ofiarą służbistości stróża bezpieczeństwa. Ten bowiem chytry do ostatnich granic naszej monarchii, wziął ją zamiast dziewczyny lekkich obyczajów i sokienek i chciał koniecznie sprowadzić na policyę — ją, matronę w cią-

żkich jedwabiach i przykładną małżonkę. Bolesna ta pomyłka, ugodziła jak wór kartofli w nowy cylinder wszystkich wyższych urzędników, którzy obecnie roztoczyli bardzo czujny nadzór nad swojemi połowicami i połowicównemi. Nasza policya bowiem często się myli i to wtedy, kiedy możnaby z tego z lekkiem sercem zrezygnować na rzecz dobroczynności publicznej lub budżetu miejskiego.

Sytuacya obecna a Węgrzy.

Wiedeń, 16 kwietnia. (*Od własnego korespondenta*).

(*waż*) Węgrzy dmą na alarm. Khuen Hedervary przypuszcza szturm i domaga się upoważnienia ze strony Austryi po wniesieniu projektu ustawy wojskowej łącznie z procedurą karną wojskową. Zapewnia, że teraz właśnie nadeszła pora najodpowiedniejsza do przeparcia obu projektów w parlamencie węgierskim. Nie może ręczyć, co się stanie, jeżeli już w maju b. r. nie stanie przed Izbą węgierską z projektami, które acz upragnione od lat w obu połowach monarchii, przecież dadzą opozycyi pole do wypowiedzenia wojny zawziętej. W sesyi wiosennoletniej — poprzysięga węgierski prezydent rządu można sobie dać radę z opozycyą, później, jesienią, za nic nie ręczy.

Madyarowie z dawna połyskują świetnym sprytem politycznym. Zawdzięczają mu, że w kilka milionów dusz, zgoła obcych pochodzeniem reszcie środowiska europejskiego, potrafili się wyforować na czoło wcale pokaźnej organizacyi państwowej i narzucić jej swój charakter narodowościowy. Temu samemu wpływowi mogą przypisać nieustanne zdobycze, czynione kosztem spoistości państwa, a co gorsza, kosztem samoistności ludów ujętych koroną św. Szczepana. Każda reforma, odnosząca się do spraw wspólnych obu połowom monarchii, okupiona być musi ustępstwami na rzecz hegemonii węgierskiej.

Tak i teraz.

Nagły pęd rządu węgierskiego do reform w dziedzinie wojskowości, energiczne domaganie się aprobaty rządu austryackiego do parlamentarnego załatwienia przedłożeń, jest bardzo zręcznie ułożonym fortelem do wytargowania jak najbogatszego łupu.

Chodzi o zdobycie dla języka węgierskiego jak najznaczniejszych prerogatyw w obrębie wojskowości, a szczególnie na terenie sądownictwa karno-wojskowego.

Warunki potemu sprzyjają wszczętej akcyi rządu węgierskiego.

Parlament austryacki rozwiązany!...

Postanowienia językowe w zakresie procedury karnej, tyczą się najbardziej przyrodzonych praw jednostki, podpadającej tym przepisom. Nie są to kwestye komendy, organizacyi wojskowej i tym podobne momenta, o których żargon centralistyczno-wojskowy utrzymuje, że są nieodzownościami, bez których armia austro-węgierska poszłaby w strzępy. W chwili, kiedy obwiniony broni przed sądem swej egzystencyi moralnej, winny mu przysługiwać najrozleglejsze prawa ochronne. Nie fikcye autorytetów językowych, nie przyodziana w paragraf hegemonia narodu danego, lecz osobistość podsądnego, jego środki obrończe powinny decydować o zastosowaniu właściwego języka w śledztwie, rozprawie i w pisemnych aktach procesu.

Zasada prosta i słuszna, uznana przez całą teoryę prawnokarną. Gdyby monarchia austro-węgierska opierała się na podstawach równouprawnienia narodowościowego, a nie szermowała sztucznemi formułami „uprawnień“ historycznych, zasada powyższa przeszłaby bez żadnego sporu do zamierzonego ustawodawstwa.

Lecz Austrya z jednej, Węgry z drugiej strony starają się przemycić pod wszelkimi pozorami, jak największą ilość norm, protegujących nadal przywileje niemczyzny

Parlament austryacki rozwiązany, więc Khuen Hederwary wysila się na wydostanie projektów do parlamentarnego użytku węgierskiego.

Kombinacya zręczna. Po ustaleniu tekstu ustaw w jednej połowie monarchii poręczoneby by było ich niezmienione przyjęcie w drugiej połowie. Ustawy muszą brzmieć jednakowo, bo odnoszą się do rzeczy wspólnych dla Cis i Translitawii. Jeżeli... z trudem i... wysiłkiem nadzwyczajnym uda się przedostać ustawę w Translitawii, natenczas stałaby się ona dla Cislitawii znów tą słynną — koniecznością państwową, przed którą według teoryi centralizmu węgierskiego w proch korzyć się musi opozycya skąd inąd najbardziej zawzięta.

Gwoli interesów dynastycznych, gwoli mocarstwowego stanowiska monarchii i t. d. i t. d. parlament austryacki przyjąćby musiał projekt mimo postanowień krzywdzących wszystkie ludy niemieckie i niewęgierskie.

I dlatego targi uparte, pogróżki i fortele.

Pan Bienerth przyjął rolę obrońcy „praw“ języka służbowego t. zn. niemieckiego.

Rozumie się w interesie Iudności(!) armii i jej sprężystości.

Daje ciągiem znać, jak się opiera i nie pozwala wziąć na kawał przez Khuen-Hederwarego. Jaki stateczny i niewzruszony.

„Gdyby Austrya zgodziła się — brzmi jedna z takich półurzędowych informacyj, — aby przed sądem wojskowym na Węgrzech, obwinieni nie byli przesłuchiwani w języku służbowym, natenczas dałaby precedens krytycznej natury co do analogicznych żądań ludów niemieckich“.

Lecz czy wolno poważnie oceniać podobne zapowiedzi bienertowskie? Czy nie są one li tylko reliefem dla „konieczności“ ustępstwa, które wreszcie pod wpływem nacisku węgierskiego trzeba będzie uczynić znów gwoli owych nietykalnych i nienadwerężonych „konieczności państwowych“.

Baron Bienerth igra. Poza § 14-tym skrzętnie zażywanym, chce on w sens tegoż paragrafu — pod nieobecność parlamentu — narzucić Austryi nowe drapieżne przepisy, godzące w indywidualne prawa jednostek.

Więc niechże ten nowy zamach Bienertha, zapisze się w pamięci wyborców. Niechaj pomną, kto stoi na czele rządu i gwoli kogo przyjść musiało do wyborów przedwczesnych. I niechaj głosowaniem dadzą wyrok o „konieczności“ takiego rządu z jego członkami i naczelnikiem.

Wybory w Krakowie.

Jeszcze daleko do wyborów, a już krążą po Krakowie całe dziesiątki wieści i pogłosek o kandydaturach poselskich i o kompromisach, wieści nieraz wprost fantastyczne.

Zaznaczamy więc z całą stanowczością, że o ile wchodzą w grę główne stronnictwa miejskie, wieści te są bez wyjątku z palca wyssane, bezpodstawne. Istnieje wprawdzie zamiar zawarcia kompromisu wyborczego — lecz co do tego nie zaszła jeszcze żadna decyzya. Stanie się to dopiero na poświątecznych konferencyach. Niech więc szanowni wyborcy Krakowa przy jajku wielkanocnem nie łamią sobie daremnie głowy nad szansami kandydatów, których oficyalnie jeszcze niema.

Natomiast prawdą jest podobno, że dotychczasowy poseł p. prof. Sikorski zamierza kandydować ponownie ewentualnie na własną rękę, że ma już gotową listę wyborców i że usilnie stara się o ich względy i głosy.

Taki sam zamiar kandydowania ma podobno p. Ludwik Zieleniewski. I on rzekomo poczynił już podobne przygotowania do wyborów, jak p. prof. Sikorski.

Również prawdą jest, że na Kazimierzu kandyduje dr. Adolf Gross, a na Wesołej Ignacy Daszyński, i że wybór tych panów nie podlega żadnej wątpliwości.

Telegramy.

Kandydatury w Jarosławskiem.

(*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*)

Jarosław. Kandydatury co do mandatów w okręgach wiejskich są już ustalone.

I tak, jak słychać, zamierza kandydować dotychczasowy poseł większości dr Kozłowski. Jako kandydaci większości w okręgu wiejskim staną również były poseł cieszanowski, K. Jampolski, z frondy ludowców i głośny z papierowej afery Wilk, b. poseł sieniawski. O mandat mniejszości ubiegać ubiegać się będzie b. poseł dr Longin Cegielski, który z b. posłem okręgu wiejskiego Stachiura objeżdżał okolicę w ubiegłym tygodniu.

Rada wojenna Wszechpolaków.

(*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*).

Lwów. Przybył tu na święta minister kolei dr Głąbiński. Podczas jego tu bytności odbywać się będą poufne narady przywódców wszechpolskich co do agitacyi wyborczej. Ponieważ namiestnik dr Bobrzyński wzbrania się popierać specyalnie kandydatów wszechpolskich, a także wszystkie inne stronnictwa usuwają się od kompromisu z nimi, będą Wszechpolacy przy tych wyborach wszędzie osamotnieni i łatwo mogą stracić kilka mandatów. Przywódcy wszechpolscy liczą się też już z możliwością klęski przy tych wyborach, więc usilują zrobić co możliwe. Zamierzają oni pocieszyć się i przynajmniej we wszystkich wschodnio galicyjskich okręgach postawić swoich kandydatów, za nim uczynią to inne partye, aby w ten sposób zmusić Radę narodową do popierania tych kandydatów z tytułu pierwszeństwa. Rada narodowa oświadczyła bowiem, że do walki stronnictw polskich mieszać się nie chce, lecz będzie wszędzie popierać wyborców polskich do bezwzględnej solidarności tam, gdzie stan polski posiadania jest zagrożony. Z tego Wszechpolacy skorzystać zamierzają.

Jak słychać, minister dr Głąbiński zamierza raz jeszcze popróbować układów z namiestnikiem na korzyść partyi wszechpolskiej.

Polacy a międzynarodowy kongres dziennikarzy.

(*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*).

Rzym. W tegorocznym międzynarodowym kongresie dziennikarskim poraz pierwszy nie wezmą udziału polscy dziennikarze. Kongres ten bowiem odbywa się w Rzymie podczas uroczystości jubileuszowych powstania królestwa włoskiego, a tem samem pierwszego zaboru państwa kościelnego. Polskie Towarzystwo dziennikarzy i literatów we Lwowie, które dotychczas stale wysyłało swoich reprezentantów na międzynarodowe kongresy prasowe, tym razem nikogo nie wysyła, ze względu na katolickie koła polskie i na Watykan.

Sfery watykańskie uważają bowiem obecne uroczystości w Rzymie wprost za obrazę papieża. W kołach dziennikarstwa włoskiego ta nieobecność Polaków wywoła przykre wrażenie.

Zmiany w krakowskiej miejskiej Kasie oszczędności.

W Krakowie krążą dziwne wieści o blizkich jakoby ważnych zmianach osobistych na naczelnych stanowiskach w miejskiej Kasie oszczędności.

Mówią o ustąpieniu naczelnego dyrektora p. dra Staniszewskiego, a wobec nieodwołalnego już przejścia na emeryturę drugiego dyrektora p. Kowalskiego, o kandydatach także na tę posadę i o utworzeniu stanowiska trzeciego dyrektora.

Na tego trzeciego dyrektora ma być powołany rzekomo — według owych pogłosek radca miejski adw. p. dr Guńkiewicz, na naczelnego dyrektora zaś adwokat p. dr. Tadeusz Fedorowicz.

Drugim dyrektorem w miejsce p. Kowalskiego ma być mianowany jeden z wyższych urzędników magistratu — którego nazwiska na razie nie podajemy, jakkolwiek wymieniane jest także w owych pogłoskach.

Natomiast uważamy za wskazane stwierdzić, że pogłoski te wywołały w mieście, a niemniej wśród urzędników Kasy oszczędności przykre wrażenie.

Urzędnicy miejskiej kasy oszczędności pracują dla jej dobra w pocie czoła za wynagrodzeniem bynajmniej nieświetnem Jest wśród nich na wyższych stanowiskach kilku, osiwiałych już niemal w służbie tej poważnej instytucyi, znających doskonale cały tryb jej interesów, wszelkie arkana jej administracyi, a niemniej stosunki gospodarcze miejskie. Jeśli więc kto, to jeden z tych urzędników powinien mieć wyłączne prawo do objęcia naczelnego stanowiska II dyrektora w kasie, a nie ulega chyba wątpliwości, że spełnialiby je doskonale, z pożytkiem dla tej instytucyi, dla miasta i dla publiczności. Co więcej urzędnicy Kasy oszczędności mają prawo domagać się, aby za ich wierną wyczerpującą pracę, taki awans był nagrodą. Możliwość osiągnięcia takiego stanowiska byłaby też dla wszystkich urzędników Kasy najlepszą zachętą, wielkim bodźcem do dalszej gorliwej i owocnej pracy dla Kasy.

Tymczasem stało się to już niemal systemem, że na wszystkich jej kierowników powołuje się ludzi z poza niej, z poza jej urzędniczego sztabu, ludzi co prawda zdolnych, którym osobiście zarzucić nic nie można, którzy atoli nie mają i mieć nie mogą należytego wyobrażenia o prowadzeniu takiej instytucyi, bo nie są zawodowymi bankowcami i finansistami, a już nie mają należytej znajomości interesów miejskiej Kasy oszczędności.

A system ten teraz — według owych pogłosek ma być jeszcze rozszerzony.

Stwierdzamy więc, że wywołuje on wśród publiczności zaniepokojenie, a wśród urzędników Kasy żywe, a zupełnie słuszne niezadowolenie i rozgoryczenie.

Może miarodajne czynniki miejskie w ostatniej jeszcze chwili zmienią te bardzo niefortunne zamiary, i drugiego dyrektora obsadzą urzędnikiem Kasy oszczędności.

Walne zgromadzenie „Związku artystów i artystek polskich“. W sali Towarzystwa demokratycznego odbyło się walne zgromadzenie członków „Związku artystów i artystek polskich w Galicyi“, w którem wzięli udział jako delegaci krakowskiego teatru miejskiego pp.: Maksymilian Węgrzyn, Wysocka, Sosnowski, Jednowski i Weychert, z lwowskiego teatru miejskiego pp.: Feldman, Sulikowski, Szobert i Paszkowski, z krakowskiego teatru ludowego (obecnie bawiącego w Lwowie) pp. Turski i Bienin, z teatru prowincyonalnego, pozostającego pod kontrolą Związku, p. Karliński.

Zebranie zagaił p. Maksymilian Węgrzyn, poczem zdał on sprawozdanie z czynności wydziału za rok ubiegły. Związek liczy obecnie 50 członków z personalu teatru miejskiego w Krakowie, 83 z teatru miejskiego we Lwowie, 20 członków z teatru ludowego w Krakowie, oraz 13 z teatru p. Karlińskiego. Po udzieleniu wydziałowi absolutoryum złożono podziękowanie p. Maksymilianowi Węgrzynowi za wydatną pracę dla Towarzystwa. Następnie zamianowano dr. Jakubowskiego w dowód zasług, położonych około rozwoju Związku, członkiem wspierającym.

Z kolei nastąpił wybór wydziału, w którego skład weszli: przewodniczący adwokat dr. Julian Gertler z Krakowa, zastępca przewodniczącego: Maksymilian Węgrzyn, sekretarz Jednowski, skarbnik Stanisławski. Członkowie wydziału: Wysocka, Sosnowski, Leszczyński, Dr. Dwernicki (Lwów), jako zastępcy: Weychert, Józef Węgrzym, Maryański, Feldman (Lwów). W skład komisyi kontrolującej: Dr. Jakubowski Turski, Sulikowski (Lwów); jako zastępcy: Kosińsk

(Lwów), Bienin. Członkowie sądu polubownego: przewodniczący Dr. Marek, Sosnowski, Jednowski, Torski, Żelazowski.

Po wyborze wydziału obradowano nad zmianą statutu Związku. Między innemi uchwalono, by Związek miał w statucie zagwarantowane prawo uzyskania koncesyi na prowadzenie własnego teatru związkowego; określono dokładnie, kto może należeć do Związku i powiększono zarząd o jednego wiceprezesa i 2 członków Zarządu.

Przy wnioskach i interpelacyach zaproponowano, by istniejące samodzielnie w Krakowie i Lwowie Czytelnie teatralne rozwiązać i wcielić je z majątkiem do Związku; nadto uchwalono, by do Związku przyjmować także artystów, chwilowo nie zajętych na scenie.

W dalszym ciągu obrad polecono Wydziałowi Związku przygotować projekt wzorowego kontraktu, który ma być przedłożony nowym dyrekcyom teatru krakowskiego i lwowskiego przy angażowaniu personalu artystycznego.

Dalej uchwalono wezwać artystów polskich z Królestwa polskiego i Poznania, aby solidaryzowali się z uchwałami Związku, dotyczącemi stosunków zawodowych aktorów.

Zgromadzenie delegatów uchwaliło następnie domagać się od komisyi artystycznej zarezerwowania stałych odpowiednich wolnych miejsc w teatrze dla młodszych aktorów, celem umożliwienia im kształcenia się i poznania sztuk.

Żywą dyskusyę wywołała sprawa angażowania nowych sił aktorskich bez kwalifikacyi przez dyrektorów prowincyonalnych teatrów. — Sprawę tę podniósł p. Karliński. Uchwalono potępić tego rodzaju postępowanie w prasie i polecono Związkowi, by anormalnym tym stosunkom postarał się prawnie zapobiedz.

P. Jednowski zaproponował udać się z prośbą do namiestnictwa, by władza ta przy nadawaniu koncesyi na prowadzenie teatru, zwracała się do Związku o opinię, czy dany przedsiębiorca ma po temu kwalifikacyę i czy na koncesyę zasługuje.

P. Karliński omawiał w końcu opłakane stosunki, wśród jakich wegetuje prowincyonalny teatr polski w Galicyi. Mowca domagał się, by Związek miał kontrolę nad każdym prowincyonalnym teatrem.

Na tem p. M. Węgrzyn obrady zamknął.

KRONIKA.

Od administracyi. Dzisiejszy numer Gazety Poniedziałkowej wyszedł w dwóch wydaniach. Pierwsze przeznaczone specyalnie dla wschodniej Galicyi, wysłaliśmy pociągiem pospiesznym już o 3 tak. że już o 9 rano numer był we Lwowie. Wydanie drugie wyekspedyowaliśmy jak zwykle pierwszymi pociągami pospiesznymi.

Do P. T. Czytelników. Z przyszłym numerem znajdą P. T. Czytelnicy w każdym numerze „Gazety Poniedziałkowej" telefoniczne sprawozdanie z ruchu giełdowego, które będzie kontrolowane przez wyższego urzędnika giełdowego. Sprawozdanie to zawierać będzie dokładne wiadomości o transakcyach i kursach notowanych.

Dalej możemy się podzielić z naszymi P. T. czytelnikami, że zawarliśmy specyalną umowę z redakcyą tygodnika berlińskiego „Die Welt am Montag", na podstawie której będziemy otrzymywali najnowsze depesze już w niedzielę o godz. 5 popołudniu.

Z niedzieli. Pierwszy dzień świąt zawiera w sobie stanowczo więcej czaru, aniżeli drugi. Nastrój jest jakiś intenzywniejszy, pełniejszy. Zwłaszcza w tym roku, kiedy niespodzianie pogoda, tak kapryśna dotychczas, nagle w samo przedpołudnie Wielkiej Niedzieli, zmieniła się zupełnie. „W struny kwiatami ktoś uderzył wiosny", nad miastem rozpostarł się czysty, jedwabny błękit nieba wiosennego. Mimo tej tak korzystnej zmiany aury, ruch w śródmieściu nie był tak silny, jak w sobotę popołudniu. Linia A-B roiła się przed rezurekcyą od obcych twarzy. To przyjezdni, którzy bądźto w odwiedziny do krewnych, bądź dla zwiedzenia „narodowego pamiątek kościoła" przybyli do Krakowa. Sami Krakowianie, z wyjątkiem małej garstki, która wyjechała do Zakopanego na święta, pozostali w mieście, aby zasiąść z tradycyjną powagą do święconego. Wszystkie sklepy były zamknięte, ruch tramwajowy przedpołudniem wstrzymany, tak, że Kraków i tak nader zaciszny sprawiał wrażenie jakiejś Bruges la-morte. Za miastem zato dawał się zauważyć silnie ożywiony ruch; popołudniu korzystali Krakowianie z wolnego czasu dla czynienia wycieczek. Pełno ludzi było na „Błoniach"; przy znacznym udziale widzów odbył się „matche" „Cracovii" z „Sportbruder".

Cichy, przedwiosenny wieczór stanowił niejako finał pierwszego dnia świąt.

Święcone. W niedzielę dnia 16 b. m. odbyło się o godzinie 12 w południe u delegata c. k. Namiestnictwa J. E. p. Federowicza tradycyjne święcone, na które przybyło wiele wybitnych osobistości tak z Krakowa, jak i Podgórza.

Zgromadzenie przedwyborcze. Dziś w poniedziałek 17 b. m., o godz. pół do 9 wieczorem, odbędzie się w sali Tow. budowy tanich domów przy ulicy bocheńskiej l. 7 zgromadzenie przedwyborcze, na które stronnictwo niezawisłych Żydów zaprasza wyborców z Kazimierza. Porządek dzienny: Wybory do Rady państwa. Referenci: dr Adolf Gross i dr Ignacy Landau.

Wieczór humorystyczny. W klubie urzędników poczt, odbył się wczoraj pierwszy wieczór humorystyczny. Publiczność jak zwykle tak i tym razem nie dopisała, mimo, że tak artysta jak i amatorzy wywiązali się ze swego zadania bardzo dobrze. Komedyjkę p. t. „Wiejscy politycy" odegrano dość dobrze, na wzmiankę między innymi zasługują: pani Ludwińska jako Makryna żona djaka, panowie: Nowotarski jako wójt i Dobrowolski w roli djaka. Na szczególną zaś wzmiankę zasługuje p. Leon Wyrwicz-Haraschim, który okazał, jak zawsze tak i dziś, wiele talentu i humoru w swoich wybornych monologach i kupletach. Podczas pauz przygrywała orkiestra 56 p. p. Na osobną wzmiankę zasługuje zaszczytnie znany p. Poleński.

Match footballowy. Wczoraj odbył się pierwszy match Cracowii z klubem pragskim „Sportbrüder".

Piękna pogoda ściągnęła na boisko pozlotowe tłumy publiczności. Match rozpoczął się o godzinie 4 po południu. Gra była początkowa spokojna, zdawało się, że usposobienie świąteczne ogarnęło także graczy, z każdą chwilą gra ożywiała się, tak, że w 3 minuty 30 sekund zdobywa Cracovia (Traub). z karnego rzutu, pierwszą bramkę. — Obie drużyny grały ślicznie, między innymi zgrabnością odznaczał się, w Cracovii Lustgarten, który wszystkie rzuty łapał w ręce, broniąc w ten sposób bramki wspaniale.

W klubie „Sportsbrüderów" zgrabnością i znajomością gry odznaczał się Kubik, niedomagał zaś bramkarz, który czy to z powodu niedyspozycyi, czy też zmęczenia bronił bramki po macoszemu, puszczając nieraz rzuty takie, które obronić było rzeczą łatwą. Match skończył się o godzinie 5 min. 30 z wynikiem 6:1 na korzyść Cracovii. Sędziował p. Wykonkal z Wiednia. — Dziś rewanż o tej samej godzinie.

Kandydat ale nie na posła tylko na rozbójnika. Piotr Nowak, 12-letni chłopak, zamieszkały przy ul. Grodzkiej pobił ciężko i pokaleczył bez powodu 10-letniego Karola Misiołka, zamieszkałego w Dębnikach. Zajście to wywołało wielkie zbiegowisko, kandydatem natomiast zajęła się policya.

Nożownik. Przytulisko br. Alberta w Krakowie było wczoraj widownią bójki na noże. Ofiarą padł Malarski Piotr, któremu przeciwnik, na razie nieznanego nazwiska, przeciął nożem tętnicę promieniową, wskutek czego nastąpił silny krwotok. Rannego opatrzyło pogotowie, odwożąc go do szpitala OO. Bonifratrów, sprawcą zaś zajęła się policya.

Wypadek przy pracy. Józef Lenik, pomocnik drukarski, uderzony przy pracy maszyną doznał złamania 2 żeber. Rannym zajęło się pogotowie.

Pobicie. Praktykant kolejowy p. W. J. został wczoraj przez swoich towarzyszy, z którymi szedł przez ulicę Zacisze, tak dotkliwie pobity, że musiało go zaopatrzyć pogotowie.

Zamach morderczy. W niedzielę zgłosił się do c. k. Dyrekcyi policyi Władysław Słotwiński, podając, że gdy wchodził do bramy przy ulicy Piekarskiej l. 14, ktoś strzelił do niego z rewolweru. Na szczęście kula ominąwszy ofiarę ugrzęzła w murze. Za sprawcą poszukuje policya.

Poparzenie 1 i 2 stopnia. Wiktorya Walczak dwuletnie dziecko zarobnika, zamieszkałego w Krakowie przy ul. Gazowej 2 doznało wskutek oblania wrzącą wodą ciężkiego poparzenia szyi i rąk.

Kradzież. W jednym z domów publicznych w Krakowie, ukradła Wiktorya Kuzio 20 koron swej koleżance z pod poduszki. Złodziejkę osadzono w areszcie.

Zguba. Ułan 2 pułku, stacyonowanego w Bochni, Podgórny Karol, zgubił wczoraj w Krakowie swoje pozwolenie urlopu. Znalazca zechce zgubę odesłać do c. k. Dyrekcyi policyi.

Stow. „Gwiazda". urządza w niedzielę dnia 23 b. m. o godz. 4 po południu święcone dla swoich członków i ich rodzin.

Nieostrożna jazda. Dorożkarz Nr. 25, jadąc wczoraj szybko i nieostrożnie, przejechał dziewięcioletniego Karola Schniedera, raniąc go w głowę i plecy. Dorożkarza aresztowano, rannego po zaopatrzeniu odwiozło pogotowie do domu, oddając opiece domowej.

Wesołe małżeństwo. Edward Badziura, szklarz, zamieszkały w Prądniku czerwonym, schwyciwszy żonę swą Annę in flagranti z jakimś kolejarzem, rozbił flaszkę na jej głowie i podrapał ją po twarzy. Uszkodzona, uczciwa i wierna żona zgłosiła się na stacyę ratunkową celem zaopatrzenia kilku zdarć naskórka i rany ciętej na głowie.

Zatrucie alkoholem. W Podgórzu znaleziono przy ulicy Kalwaryjskiej l. 36 zwłoki Eliasza Habera zarobnika. Zawezwany lekarz dr. Smorągiewicz, skonstatował śmierć wskutek zatrucia alkoholem.

Zagadkowa śmierć. Do restauracyi przy ulicy Wiślnej l. 2 w Podgórzu przyszło onegdaj towarzystwo dwojga osób (nazwiska ich są do dzisiaj nieznane) zażądali piwa, za które „ona" zapłaciła i wyszła. Po niedługim czasie zauważył kelner, że gość się nie rusza, zawezwał przeto agenta p. Iglickiego, który zawiadomił natychmiast dr. Smorągiewicza. Lekarz skonstatował śmierć. Przy nieboszczyku znaleziono gotówką 145 koron.

Krakowskie Stowarzyszenie Kupców na odbytem posiedzeniu Wydziału uchwaliło wysłać memorandum co do spoczynku niedzielnego do wszystkich stowarzyszeń kupieckich i rad wyznaniowych w Galicyi, celem żądania od kandydatów ubiegających się o mandat do parlamentu przyrzeczenia, że dążyć będą w Radzie Państwa do zniesienia spoczynku niedzielnego dla kupców żydowskich w Galicyi, którzy w sobotę mają sklepy zamknięte.

Na członków Stowarzyszenia kupców przyjęto pp. Jakóba Szpera; Adolfa Sternberga; Bernarda Cohna; Leona Goldbergera; Zygmunta Perlbergera; Maurycego Allerhanda; Artura Spirego; Jakóba Allerhanda; Władysława Lieblinga; Maurycego Jablonera; Juda Urabina; Hillela Schmeidlera; M. Pragera; L. Zweiga.

Koncert St. Barcewicza. Najznakomitszy ze skrzypków polskich, St. Barcewicz wystąpi w Krakowie po długiej nieobytności we środę dn. 19 b. m. W zimie b. r. obchodził niezrównany „śpiewak-krzypek" 25 letni jubileusz działalności profesorskiej w konserwatoryum warszawskiem i był z tego powodu przedmiotem serdecznych owacyi, które żywem echem odbiły się w całej Polsce. Publiczność krakowska nie ominie zapewne sposobności, by niepospolitemu artyście złożyć hołd jubileuszowy. Żywy pokup na bilety w księgarni S. A. Krzyżanowskiego świadczy, że tak będzie. Program środowego koncertu przedstawia się nader zajmująco i składać się będzie z suity Riesa, koncertu D mol Vieuxtempa, Romansu G dur Beethovena, utworów Bacha, Czajkowskiego, Landowskiej i Hubaya. Akompaniować będzie p. Zofia Dawidsonówna. W dzień koncertu bilety sprzedawać będzie tylko kasa Starego Teatru.

Wykwintny lokal. „Jama" michalikowa, znana tak dobrze sferom artystycznym naszego miasta, powiększyła się w ostatnich czasach o salę, urządzoną z ogromnym smakiem i europejskim wykwintem. Nadto, należy zauważyć, że nowa sala cukierniana, nie jest wyłącznie luksusową, jak tyle eleganckich confiseries, ale łączy wytworność z wygodą. Nad urządzeniem sali czuwało oko takiego znawcy, jakim jest art. mal. p. Frycz.

Osobną wzmiankę należy poświęcić meblom, wykonanym u zaszczytnie znanej firmy J. Sperling. Meble te — od delikatnie wyplatanych krzeseł po ciężkie szerokie siedziska — świadczą o wielkim smaku i odznaczają się precyzyjnością wykończenia.

„Nasz Kraj ilustrowany." Cennym nabytkiem dla każdego jest wychodzący we Lwowie „Nasz Kraj ilustrowany". Rozpoczął szósty rok wydawnictwa pod nowem kierownictwem i w nowej szacie. Tygodnik ten jest dzisiaj najaktualniejszem pismem ilustrowanem. Osobliwie wzmianki godnym jest numer świąteczny, który zawiera wiele cennych ustępów tak pod względem treści naukowej, jak i beletrystycznej, dodatkowo zaś pomieszcza kilkadziesiąt wspaniałych ilustracyi.

Agencya Tow. Wzaj. Ubezpieczeń na Śląsku Z dniem 1 kwietnia otwartą została na Śląsku Agencya Towarzystwa Wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie, a biuro jej pomieszczono przy Hauptstrasse Nr. 3, najpiękniejszej i najruchliwszej ulicy Bielska.

Społeczeństwo nasze, w powiecie bielskim i bialskim, powinno poprzeć tę nową placówkę naszej rodzimej instytucyi, ubezpieczając się od ognia, gradu i wypadków na życie za jej pośrednictwem w prastarej polskiej, krakowskiej instytucyi — w Towarzystwie Wzajemnych Ubezpieczeń.

Międzynarodowy konkurs literacki. Komitet odbyć się mającego w sierpniu br. w Antwerpii Wszechświatowego Kongresu esperantystów ogłasza konkurs literacki na 10 różnych tematów, zapraszając wszystkich esperantystów do współudziału. — Nie chcąc zabierać miejsca nie będziemy czytelnikom cytowali pojedynczych tematów i ofiarowanych premij, ale odsyłamy w tym celu do tut. Towarzystwa „Esperanto", ul. Floryańska 39. II. p., gdzie codziennie z wyjątkiem dni świątecznych, między godziną 6 a 8 wieczorem wydział tegoż Towarzystwa z gotowością udzieli potrzebnych informacyj dotyczących kongresu i Esperanta w ogóle. — Na listowne odpowiedzi należy dołączyć markę pocztową.

Esperantyści krakowscy przyjmowali w ubiegły wtorek w swem Towarzystwie jednego z najstarszych i najwybitniejszych esperantystów świata p. Antoniego Grabowskiego, inżyniera z Warszawy, który przybył do Krakowa, ażeby brać udział w obradach zjazdu techników nad ujednostajnieniem terminologii chemicznej w języku polskim, a równocześnie omówić z miejscowymi esperantystami sprawy odbyć się mającego w roku przyszłym w Krakowie wszechświatowego kongresu esperantystów. P. Antoni Grabowski, członek redakcyi miesięcznika „Pola Esperantisto" i prezes warszawskiego Towarzystwa esperantystów, odpowiadając na powitanie dłuższą mową w języku esperanckim, zakończył ją pięknym oryginalnym utworem poetyckim. Przypadkowo bawiący w Krakowie esperantysta kroacki z Zagrzebia, skorzystał ze zbiegu okoliczności i w imieniu kroackich esperantystów wyraził pod adresem twórcy języka, dra Zamenhofa, i obecnego p. Grabowskiego najwyższe uznanie dla wielkiego dzieła w dziedzinie uproszczenia stosunków wszechludzkich. Z kolei nastąpiły deklamacye: panna H. W. wypowiedziała wiersz Goethego „Rego de Elfoj" w tłomaczeniu gościa. Następnie znany esperandzki poeta p. Eska wygłosił swych parę utworów oryginalnych. Na zakończenie odśpiewano hymn esperancki, oraz kilka wierszy oryginalnych i w tłomaczeniu p. Grabowskiego.

Przy omawianiu spraw kongresowych z członkami wydziału Towarzystwa, z prof. Bujwidem na czele, wyłoniła się propozycya, aby podczas kongresu opera lwowska, wówczas bawiąca w Krakowie, wystawiła po esperancku „Halkę", a teatr krakowski „Mazepę" Słowackiego w tłomaczeniu p. Grabowskiego.

Demonstracye lwowskie przeciw jupe-culottom. Lwów był w wielki piątek widownią nader ciekawych demonstracyi przeciw jupe-culottom. Oto, kiedy koło sklepu Stachiewicza i Abrysowskiego w Rynku, pojawiła się jakaś pani w „sukni-spodeńkach", otoczył ją tłum uliczników i począł obrzucać ordynarnymi wyzwiskami. Krzyki te i hałasy ściągnęły około trzech-tysięczny tłum, który zaaranżował „hecę", szukając w Rynku i w ulicach przyległych panie, któreby miały na sobie jupe-culotty. Kiedy odkryto 3 panie w „sukni-spodeńkach", ekscesy zaszły tak daleko, że panie owe musiały się schronić przed rozwydrzonym tłumem do zakrystyi kościoła katedralnego. Energiczna interwencya policyi położyła dopiero koniec tym demonstracyom, które trwały przeszło 3 godziny.

Weberówna na wolności. Prosząc o gościnność w łamach wielce szanownego pisma, podaję do wiadomości w interesie prawdy, że p. Ludomiła Weber, posądzona o szpiegostwo, wypuszczoną została na wolną stopę, na skutek moich zabiegów proceduralnych i za złożeniem kaucyi w kwocie 1000 koron na tej podstawie, że wedle opinii sztabu generalnego, absolutnie niema podstawy do ścigania jej o szpiegostwo. Formalne zastanowienie sprawy nastąpi na wniosek Prokuratora Państwa, po porozumieniu się z Ministerstwem Sprawiedliwości. Z pełnym szacunkiem Dr. Solański, Lwów.

Kursa języka francuskiego dla cudzoziemców na uniwersytecie w Nancy. Od szeregu lat uniwersytet w Nancy zaprowadził u siebie specyalne kursa języka francuskiego dla studentów obcych narodowości. — Dzielą się one na kursa: zimowy, letni i wakacyjny. — Po każdym z tych kursów odbywają się egzamina i zostają wydawane dyplomy. — Uczniowie korzystać mogą ze specyalnej na ten cel biblioteki.

O bliższych szczegółach co do planu naukowego, opłat, kosztów utrzymania i t. p. poinformuje tut. delegat Powszechnego Związku esperanckiego (Universala Esperanto Asocio) p. Stanisław Rodnicki, ul. Kopernika 17 albo wieczorem w Towarzystwie „Esperanto", ul. Floryańska 39, II p.

Droguista a pijacy. W Becskerek, na Węgrzech, rozpoczął się proces przeciwko droguiście, Aleksandrowi Kovoscowi, o sprzedawanie wódki trującej, po wypiciu bowiem podczas stypy w pewnej wiosce okolicznej wódki u niego nabytej, zmarło dnia 5-go marca z. r., 15 osób, w innych zaś dwu wioskach 4 osoby. Kovacs broni się tem, że tę samą wódkę sprzedawał też innym osobom bez szkody dla ich zdrowia, przypadki zaś przytoczone zdarzyły się skutkiem zatrucia alkoholem. Podczas bowiem stypy wspomnianej 60 osób wypiło nie mniej nie więcej, tylko 200 litrów wódki, w innej zaś miejscowości przypadało podczas zabawy po 3 litry wódki na osobę.

Ciekawy jubileusz. W r. b. przypada ciekawy jubileusz. Oto właśnie mija 200 lat od czasu, jak po raz pierwszy w Berlinie pochowano aktora na cmentarzu chrześcijańskim. Do owego czasu aktorzy, linoskoczki, komedyanci i t. p. uważani byli ... ludzi podrzędnej wartości; traktowano ich jako cyganów lub uliczników. Kupcy np. nie dawali kredytu aktorom, ponieważ sądy nie przyjmowały skarg przeciw aktorom. Chowano aktorów tam, gdzie chowani byli samobójcy i zbrodniarze. Dopiero w r. 1711 pochowano po raz pierwszy aktora, Jakóba Szellera, na cmentarzu chrześcijańskim w Berlinie.

Podróże w dawnych czasach. Prasa francuska w ostatnich czasach uskarża się coraz częściej na niepunktualność kolei francuskich, które nadto nie rozporządzają także dostatecznym zapasem wagonów, by zaspokoić niezbyt nawet wielkie wymagania publiczności. — Na pociechę opowiada „Petit Journal" paryski swym czytelnikom o niewygodach i trudach, jakie znosić musieli podróżnicy w czasach, kiedy wogóle jeszcze nie było kolei. A jednak i wtedy w nagłych wypadkach umiano się zdobyć na pospiech niezwykły. W roku 1574 kuryer, który miał królowi polskiemu, Henrykowi Walezemu, doręczyć wiadomości o śmierci jego brata, króla francuskiego, Karola IX., drogę z Paryża do Warszawy odbył, w 13 dniach.

Jak wiadomo, następstwem tego pospiechu była ucieczka króla z Polski. — Jeszcze większy rekord uzyskał inny kuryer, który z Wersalu do Rzymu zdołał się dostać w 166 godzinach. Przechodząc do czasów nowszych, stwierdził „Petit Journal", że „kuryerzy epoki dzisiejszej", działający przeważnie dla celów sportu, uzyskują zgoła niespodziewane rezultaty szybkości. Drogę z Paryża do Bordeaux podczas słynnego rekordu, odbyli cykliści w 19 godzinach. Dawniej, za czasów panowania karetki pocztowej i dyliżansu, za bardzo świetną podróż uważano już taką, w której na przebycie 40 kilometrów potrzebowano 24 godzin.

„Indyjski balsam". „Mundus vult decipi"... Stara to zasada, a nie brak nigdy chętnych do zastosowania jej w życiu. Że zaś naiwność ludzka jest zawsze dobrym kapitałem, świadczy o tem historya „indyjskiego balsamu", wynalazku p. Awrachowa, który niedawno stawał przed sądem pokoju w Petersburgu, tłumacząc swoje „indyjskie operacye". Epilog całej „indyjskiej" przygody był smutny dla „wynalazcy", gdyż, jak donosi gazeta „Rus. Utro", sąd skazał go na 6 miesięcy więzienia za oszustwo. Skazany ma jednak na pocieszenie nieco oszczędności. Oto, co mianowicie donosi cytowana powyżej gazeta rosyjska o ubocznych perypetyach sprawy. Awrachow założył apelacyę do zjazdu sędziów pokoju, a jednocześnie złożył prośbę o uwolnienie go za kaucyą.

„Jako zastaw — pisze ta gazeta — proponuje swój wielki dom przy ul. Kołokolnej, oraz drugi, wznoszony na rynku Nikolskim, 50.000 rb. w gotowiźnie i wreszcie cały swój majątek wartości około 500.000 rb. w papierach procentowych. — Jak donoszą, majątek Awrachowa wynosi obecnie 1,000.000 rb. Zysk, otrzymany ze sprzedaży balsamu indyjskiego, dochodzi 3,000.000 rb. z czego 2,000.000 użyto na reklamę... Sędzia pokoju odrzucił podanie".

Kandydatury.

Prof. dr. Władysław Leopold Jaworski — jak nas informują z wiarygodnego źródła — kandyduje w okręgu Jasło-Gorlice; ewentualnie zaś, gdyby się stosunki wyborcze odpowiednio ułożyły, ubiegać się będzie także o mandat z Krakowa.

Z okręgu wiejskiego Bochnia-Brzesko kandyduje p. Maurizio jako oficyalny kandydat partyi ludowej. Jego kontrkandydatem jest p. Bardel, adwokat krajowy z Krakowa.

Deputacye wyborcze.

W Krakowie niemałe wrażenie wywołała wczoraj deputacya wyborcza z okręgu wyborczego Tarnobrzeg-Rozwadów-Mielec, która przybyła do p. Eliasza Kanarka, właściciela dóbr i przemysłowca z prośbą, ażeby ubiegał się mandat do Rady państwa z tego okręgu. Pan Eliasz Kanarek, który dotychczas politycznie nie występował, podziękował deputacyi za zaufanie, co zaś do przyjęcia kandydatury, zostawił sobie trzy dni do namysłu.

Onegdaj bawiła we Wiedniu deputacya wyborców z Bochni, ażeby w oficyalnej formie prosić b. ministra dra Korytowskiego, ażeby ponownie kandydował w tym okręgu (Bochnia-Wieliczka-Podgórze).

„Przyjaciel Ludu" w artykule p. t. „Przygotowania wyborcze" omawia obszernie obecną sytuacyę.

Organ p. Stapińskiego pisze:

„W miastach rozegra się walka między wszechpolakami a demokratami, socyalistami i syonistami. W okręgach wiejskich zetrą się z niebywałą zaciętością ludowcy z wszechpolakami. Konserwatyści też mają apetyt na kilkanaście mandatów. Najostrzejsza walka będzie w okręgu Krosno-Żmigród-Frysztak-Strzyżów, gdzie wszechpolacy wytężą wszystkie siły i środki przeciw prezesowi P. S. L. Stapińskiemu. Walka już się rozpoczęła. Agitacyą wszechpolską dowodzi p. Gruszecki z Jasła. Główne kierownictwo akcyi ludowców spoczywa w rękach p. Andrzeja Krukierka w Krośnie. Wszechpolacy odkomenderowali w ten okręg wyborczy 40 najzażartszych agitatorów, którzy już obchodzą gminy. Kto drugi z ludowców obok Stapińskiego będzie kandydował, jeszcze nie wiadomo.

Drugim najbardziej zwalczanym przez wszechpolaków, kandydatem jest były minister skarbu dr Leon Biliński, którego się wszechpolacy okrutnie obawiają. Dr. Biliński kandyduje w mieście Rzeszowie. Ludowcy nawzajem szykują się do gruntownego zaatakowania wszechpolaka dra Ptasia w okręgu Nowy Targ Limanowa. Kandydatów ludowców na ten okręg zgłasza się kilku. Trzeba będzie dobrze rozważyć, kto ma największe szanse zwycięstwa przeciw Ptasiowi.

Na pomoc wszechpolakom spieszą stojałowczycy, fronda z pp. Dąbskim i Jampolskim na czele, tudzież konserwatyści podolscy i niektórzy księża. Przeciw wszechpolakom stają w pierwszym rzędzie ludowcy na całej linii w całym kraju, następnie demokraci polscy z prezydentem Krakowa, drem Leo i pp. Germanem i Battaglią na czele, a podobno i konserwatyści krakowscy. Socyaliści idą, jak zwyczajnie, przeciwko wszystkim. Tak samo syoniści w całym kraju mają stawiać osobnych kandydatów. Rząd, jak słychać, ma zająć stanowisko zupełnie bezstronne. Nie ma on ani popierać żadnych stronnictw, ani zwalczać.

Dalej pisze „Przyjaciel Ludu":

„Pośród kandydatów wymieniają wszechpolacy: Dobiję i Stobandla na okręg bialski, Bogackiego na okręg żywiecki ks. Stojałowski na Chrzanów, dr. Danielak na Krakowskie, Wojtowicz na Bocheńskie, Wawrzyniec Łuka na Tarnowskie, sędzia Banaś na Wadowickie geometra Maksyś na dąbrowskie, dr. Ptaś na Limanowskie, Drewniak w Jasielskiem, Gruszecki na Strzyżów-Krosno, prof. Pytel w Sanockiem, Szajer i Paduch (!!) w Rzeszowskiem, Zieliński na Tarnobrzeg, hr. Skarbek w Ramborskiem itd.

„Demokraci kandydują na okręgi miejskie: dr. Leo, dr. Doboszyński i dr Bandrowski w Krakowie, dr Łazarski w Wadowicach-Białej, dr. German Nowy Sącz-Stary Sącz-Nowy Targ, we Lwowie Battaglia, Śliwiński i Lisiewicz, dr. Janik, w Przemyślu dr. Stesłowicz, w Jarosławiu Rychlik, w Samborze-Gródku Kolischer, dr. Aszkenaze w Tarnopolu, dr. Nimbin w Stanisławowie, Kleski w Kołomyi itd.

„Konserwatyści kandydują w miastach: dr. Jaworski w Krakowie, dr. Korytowski w Podgórzu-Wieliczce-Bochni, dr. Kniaziołucki w Przemyślu, dr. Steinhaus w Rawie Ruskiej, bar. Moysa w Buczaczu, a po wsiach: ks. Kazimierz Lubomirski w Żywieckiem, marszałek pow. Bzowski w Wadowickiem Myślenickiem, Poniński w Bialskiem, radca Matakiewicz w Tarnobrzeskiem, ks. Andrzej Lubomirski w Łańcuckiem, Starowieyski w Brzozowskiem albo Sanockiem, Czajkowski w Przemyskiem, Kozłowski w Jarosławskiem.

Telegramy.

Pierwsza oficyalna kandydatura.

(Telegramy własne Gazety Poniedziałkowej).

Tarnów. Ziściły się wszystkie przepowiednie i pogłoski. Burmistrz dr. Tadeusz Tertil zgłosił już oficyalnie swą kandydaturę na posła do Rady państwa. Ogłoszenie to znajduje się na razie na szpaltach dzisiejszego numeru tygodnika „Pogoń", będącego przybocznym organem burmistrza. Jak z wstępnego artykułu tego numeru wnosić można, nie liczy dr. Tertil na poparcie rządu. Artykuł ten pełny jest goryczy i napaści na namiestnika Bobrzyńskiego, wspomina o rozłamie w partyi konserwatystów, o tem, że namiestnik nie będzie popierał kandydatów wszechpolskich. Wobec tego nie ma kandydatura dra Tertila wcale pomyślnych szans, tym bardziej, że większość wyborców Tarnowa jest zawsze za kandydatem szczerze demokratycznym; tylko taki kandydat liczyć może na mandat Tarnowian.

Tarnów. Przyjaciele burmistrza na polu polityki lokalnej, jak dr Schutzer i jego partya rozpoczynają już agitacyę przeciw kandydaturze dra Tertila. Partya składająca się wyłącznie z ludzi postępowych chce go mieć nadal burmistrzem. Wobec tego nie ma dr. Tertil nikogo za sobą oprócz szczupłej garstki endeków tarnowskich.

Tarnów. Kandydatura dla Tertila spotkała się z wielkiem oburzeniem obywatelstwa tarnowskiego, które nie spodziewało się, że burmistrz tak po macoszemu obejdzie się z miastem, zostawiając je w czasie finalizowania milionowych inwestycyi bez osoby wtajemniczonej we wszystkie te przedsiębiorstwa bez żelaznej ręki, która konieczna jest przy prowadzeniu takich olbrzymich przedsiębiorstw, jak: gazownia, elektrownia, wodociągi, tramwaj itp.

Kandydatura socyalistyczna.

(Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej).

Tarnow. Mówią tutaj o kandydaturze dra Marka z Krakowa, któraby, jako przeciwna drowi Tertilowi miała bardzo pomyślne szanse.

Ministrowie w Rzeszowie.

(Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej).

Rzeszów. Dowiaduję się z kół dobrze poinformowanych, że minister Dr. Głąbiński był tu w Rzeszowie. Celem jego pobytu była sprawa kandydatury Dr. Jabłońskiego, której szanse z każdym dniem są coraz mniejsze i któr., z tego powodu nosił się już z zamiarem cofnięcia swej kandydatury. Minister Głąbiński nalegał na niego, ażeby bezwzględnie nie cofał się od kandydowania i stanowczo zwalczał kandydaturę był. min. Bilińskiego. Również ekscelencya Biliński miał być w Rzeszowie u Dr. Krogulskiego, ażeby zapewnić sobie poparcie z jego strony, obiecując mu, że Stapiński przeprowadzi jego wybór napewno w okręgu wiejskim Rzeszów-Kolbuszowa.

Rzeszów. W ostatniej chwili postawiono tu podobno także kandydaturę byłego ministra Adama Jędrzejowicza.

Ze strony socyalistycznej kandydować ma redaktor „Naprzodu" Haeker.

Wybory nadchodzą.

(Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej).

Rawa Ruska. W okręgu tutejszym miejskim kandyduje p. dr. Steinhaus burmistrz z Jasła.

Nie będą kandydowali.

(Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej).

Wiedeń. Z pośród dotychczasowych posłów niemieckich zrzekli się nieodwołalnie mandatów następujący posłowie: baron Chiari, Dr. Prade, Dr. r. Nitsche, Perathoner, Bernkopf, Jesser i ks. Auersperg. Z posłów czeskich zrezygnowali z dalszego posłowania Dr. Forst i Praszek byli ministrowie.

Kandydatury na Bukowinie.

(Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej).

Czerniowce. Dotychczas zgłoszono następujące kandydatury: Profesora Skedla, jako kandydata z Radowiec, Suczawy i Seretu, a którego przeciwkandydatami są: jeden z socyalnych demokratów i żydowski nacyonalista dr. B. S. Landau z Wiednia. W

Czerniowcach kandyduje dr. Straucher, dotychczasowy kandydat tego okręgu. Baron Hormuzaki nie będzie więcej kandydował, bo ma zostać marszałkiem krajowym przy otwarciu sesyi sejmowej. Poseł Mikołaj Wassilko kandyduje, jak dotąd w okręgu Wiżnitz.

Orędzie cesarskie w sprawie uniwersytetu ruskiego.

(*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*).

Wiedeń. Jak się dowiadujemy, ukaże się już w tych dniach orędzie cesarskie w sprawie uniwersytetu ruskiego we Lwowie. Orędzie to uzna zasadniczo słuszność dotyczących żądań ruskich i **zapowie ich spełnienie, a więc utworzenie uniwersytetu ruskiego w Galicyi już w bliskiej przyszłości**.

W tutejszych kołach politycznych sądzą, że rząd pragnie przez to orędzie pozyskać sobie względy i poparcie klubu ruskiego w nowej Izbie poselskiej.

Właściwy powód rozwiązania parlamentu.

(*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*).

Praga. W „Reichenberger Volkszeit" omawia pewien niewymieniony poseł przyczyny rozwiązania Izby poselskiej i oświadcza, że najpoważniejsza przyczyna, która rząd skłoniła do rozwiązania, był projekt posła Steinwendera, ażeby niemieccy posłowie wolnomyślni z austryackiej Rady państwa urządzili w tym roku oficyalną wycieczkę na uroczystości jubileuszowe w Rzymie. Gdy zamiar ten stał się głośnym, wywołał wielkie zaniepokojenie i oburzenie w Watykanie. Koła watykańskie nie chciały dopuścić do tego, ażeby członkowie parlamentu państwa katolickiego brali urzędownie udział w tych uroczystościach królestwa włoskiego. Poruszono więc wszelkie sprężyny, ażeby podróży tej przeszkodzić, zwłaszcza zaś odwołano się do austryackich Kół dworskich. Baron Bienerth, gdy wybuchła czeska obstrukcya, nie miał pierwotnie zamiaru rozwiązać parlament z tego powodu. Dopiero presya wywarta na niego z kół dworskich, skłoniła go do użycia tego ostatecznego środka. W ten sposób przeszkodzono wycieczce posłów, ponieważ po rozwiązaniu parlamentu już nie miałaby żadnego znaczenia.

Odwiedziny króla Piotra w Budapeszcie.

(*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*.)

Wiedeń. Opinia tutejsza przyjęła wiadomość o nastąpić mających odwiedzinach króla Piotra serbskiego na dworze habsburskim bez dawniejszego sztucznego zdumienia. Od chwili zaboru Bośnii i Hercogowiny Ministerstwo spraw zagranicznych usiłuje akcentować pokojowość swych dalszych intencyj względem państw bałkańskich. Prasa wiedeńska stale inspirowana w biurze prasowem Ministerstwa, otrzymała też zlecenie, aby wiadomość podać bez zwykłych komentarzy zjadliwych. Tylko kilka dzienników brukowych robi oburzenie.

Wiadomość o przyjeździe króla Piotra wymaga jednak formalnego sprostowania w jednym punkcie. Przyjazd nie nastąpi do Wiednia. Ze źródła autentycznego dowiaduje się Wasz korespondent, że o odwiedzinach we Wiedniu wogóle mowy nie ma. Król Piotr przybędzie z początkiem lata do Budapesztu, dokąd uda się cesarz Franciszek Józef na przyjęcie gościa.

Białogród. Uważać należy za rzecz niemal pewną, że król Piotr odwiedzi władcę monarchii sąsiedniej w okolicy węgierskiej. Mimo przedstawień zabiegających, aby odwiedziny te nastąpiły we Wiedniu, sfery decydujące serbskie oświadczyły się za Budapesztem. Wpłynęła na postanowienie ta okoliczność, że środowisko wiedeńskie nie nadaje się do odbycia tego aktu uprzejmości sąsiedzkiej. Wiedeń aż do ostatniej niemal chwili lubował się w wyzywającej wobec Serbii postawie i nie ustawał w przycinkach i dokuczliwych napaściach. Sfery dworskie dobrze poinformowane o tem nieprzyjaznem usposobieniu Wiednia, postanowiły przyjąć zaproszenie dworu austryackiego, ale odwiedziny odbyć się mają w stolicy Węgier.

Białogród (*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*). Dojście do skutku podróży króla Piotra na dworze habsburskim przypisać należy zabiegom hr. Forgacha i hr. Aerenthala, którzy w ten sposób postanowili odwdzięczyć się za sukurs dany im poprzednio w sprawie Wasicza przez rząd serbski. Minister spraw zagranicznych Milovanovic mimo druzgocących dowodów winy sfer rządowych austryackich we fałszowaniu dokumentów, użytych w procesie Friedjunga, nie wysnuł z faktów tych wniosku właściwego i nie zażądał odwołania hr. Forgacha, jak się tego domagała opinia serbska. W ten sposób nie dopuścił do formalnego skompromitowania sfer austryackich. Hr. Aerenthal wywdzięczając się za tę szczególną względność, wdrożył tym razem sam rokowania co do przyjazdu króla Piotra. Jak mię z poważnej strony informują, sfery serbskie zajęły odmienne jak dawniej stanowisko, kiedy Serbii chodziło o legitymacyę Karadziordziewiczów na dworach europejskich. Po przyjęciu króla Piotra w Rzymie i po aferze Wasicza, koła rządowe austro-węgierskie podały propozycyę przyjazdu, którą akceptowano ze strony serbskiej.

Podróże króla Piotra.

(*Tel. wł. Gazety Poniedziałk.*).

Paryż. Król serbski Piotr przybędzie tu w dniu 22 maja z oficyalną wizytą. Towarzyszyć mu będą serbski prezydent gabinetu i minister spraw zagranicznych Milowanowicz. Prezydent Falieres powita króla na dworcu w towarzystwie wszystkich ministrów oraz prezydenta Izby deputowanych.

Trzechcesarskie serdeczności.

(*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*).

Wiedeń. Eskadra austro-węgierska pod komendą admirała Kunsti, która obecnie odbywa ćwiczenia na morzu greckim, a która miała odwiedzić port grecki Patras, otrzymała nagle rozkaz, ażeby zamiast do tego portu popłynęła na wybrzeża Korfu, na której przebywa obecnie niemiecka para cesarska. Stało się to na życzenie cesarza Wilhelma, który pragnie odbyć przegląd tej eskadry i osobiście przekonać się przytem o wartości austro-węgierskiej floty wojennej, która w ewentualnej przyszłej wojnie ma operować z niemiecką flotą. Ażeby upozorować ten przegląd innemi względami, ogłaszają pisma wiedeńskie, że w Patras panują obecnie epidemiczne choroby, wobec czego eskadra austro-węgierska tam na razie przybyć nie może. Wiadomość ta nie zgadza się jednakże z prawdą i zmiana dyspozycyi, danej tej eskadrze, spowodowana została wyłącznie życzeniem cesarza Wilhelma. Nie ulega wątpliwości, że fakt nabierze politycznego znaczenia i że wywoła pewną senzacyę we Francyi i Anglii, których rządy są już i tak bardzo zaniepokojone budową austro-węgierskich dreadnoughtów.

Frankfurt nad Menem. Otrzymano tu wiadomość, że rosyjska para cesarska przybędzie w tym roku i to już w czerwcu ponownie do zamku Friedberg, skąd carowa zamierza odbyć kuracyę w Nauheim. Odwiedziny te potwrają dwa miesiące, a podczas pobytu gości rosyjskich odbędą się znów zjazdy cara z cesarzem Wilhelmem, co świadczy o bardzo serdecznych stosunkach między Berlinem a Petersburgiem.

Ustąpienie kanclerza Niemiec.

(*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*).

Berlin. W berlińskich kołach politycznych liczą się już poważnie z możliwością ustąpienia obecnego kanclerza w razie gdyby parlament odrzucił projekt konstytucyi dla Alzacyi i Lotaryngii. Widoki tego projektu zmniejszyły się znacznie wskutek inspirowanej podobno przez wpływowe bardzo, a przeciwne p. Bethmann Hollwegowi czynniki mowy b. sekretarza alzacko-lotaryńskiego, pana Köllera. Jako następcę p. Bethmanna Hollwega wymieniają w pierszej linii i barona Rheinbabena.

Powstanie w Albanii.

(*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*).

Konstantynopol. Według depeszy komendanta dywizyi ze Skutari prowiant i amunicya, wysłane przez Helm, doszły do Tuzi. Wojska, które wysłano z Tuzi, obsadziły grzbiety górskie koło Wuksalekai. Wobec tego, że kolumna Muhidyna obsadziła grzbiet górski Holit, a wojska, wysłane z Kastrati, obsadziły Helm, przywrócono już komunikacyę między Skutari, Kastrati, Helmem a Tuzi. Przez dwa dni nie było żadnych starć koło Tuzi.

W walce dnia 12 bm. zginął kapitan i 21 żołnierzy, a odnieśli rany dwaj porucznicy i 18 żołnieezy.

Salonika. Wobec rozmaitych doniesień Agencyi ateńskiej, należy stwierdzić, że we Florina i Kastrati niema powstańców. Nieprawdziwa jest również pogłoska, jakoby Młodoturcy mieli usunąć wybitniejsze osoby, które przed obecną rewolucyą brały udział w powstaniu macedońskiem.

Konstantynopol. Przedstawiciel Czarnogóry odbył wczoraj z ministrem spraw zewnętrznych dłuższą konferencyę w sprawie podejrzeń, jakoby Czarnogóra popierała ruch Malisorów.

Przedstawiciel Czarnogóry odparł zarzut, jakoby Czarnogóra udzielała jakiegokolwiek poparcia powstańcom, przyczem przyznał, iż jest możliwość, że w poszczególnych wypadkach osiedleni nad granicą Czarnogóry, spokrewnieni z Malisorami, popierali ich. Czarnogórcy ci należą do katolickiego czarnogórsko-albańskiego szczepu Satresz.

W końcu przedstawiciel Czarnogóry zapewnił, że Czarnogóra zachowuje ściśle stanowisko neutralne, a dalej domagał się ustawienia silnego kordonu wojskowego nad granicą, aby ochronić Czarnogórę przed inwazyą powstańców.

Minister przyrzekł to uczynić.

Ruchawka albańska.

(*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*).

Rzym. Generał Asinari oświadczył, że gotów jest objąć komendę nad oddziałem ochotników, który ma wyruszyć do Albanii na pomoc tamtejszym powstańcom przeciwko Turkom.

Rewolucya szampańska.

(*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*).

Paryż. Rewolty szampańskie nieustają, lecz szerzą się coraz bardziej, wobec czego fabrykanci win szampańskich postanowili opuścić Szampanię i osiedlić się w innej części Francyi.

Tłum szaleje.

Reims. W Trepail wybili winiarze szyby w domu pewnego komisyonaryusza, wyłamali drzwi ze składów winnic i stłukli 1500 flaszek. Inna gromada zniszczyła winnnice w Vernezey, należące do firmy Moet i Chandon. Dokonano wielu aresztowań.

Czy stan oblężenia?

Paryż. Krążą pogłoski, że rząd francuski zamierza wprowadzić w Szampanii stan oblężenia na przeciąg 4 tygodni.

Paryż. Wczoraj popołudniu nastąpiła telefoniczna wymiana zdań między prezydentem ministrów a jednym z przywódców winiarzy, na skutek którego wycofano trzecią część wojska z terenu rozruchów. Pozostałe oddziały mają dzisiaj opuścić Szampanię.

Wieczorem przyszło do małego starcia, w którem jeden z komisarzy policyi został kamieniem zraniony.

Rozruchy posłużyły do tego, aby wypróbować wojskowe aparaty lotnicze, przyczem winiarze mieli markować nieprzyjaciela. Próba wypadła świetnie.

Wojska Stanów Zjednoczonych w Meksyku.

Londyn (*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej.*) — Wielkie wrażenie wywołała tu wiadomość o wtargnięciu wojsk Stanów Zjednoczonych do Meksyku. Niektóre dzienniki wskazują na dziwną sprzeczność między ekspanzywnem postępowaniem rządu Stanów Zjednoczonych a rokowaniami tego rządu o traktat rozjemczy z Anglią. Stany Zjednoczone przez wtargnięcie do Meksyku dały dowód, że celem, do którego dążą, jest hegemonia nad Ameryką, co stanowi niebezpieczeństwo dla innych republik łacińskich w Ameryce.

Stany Zjednoczone widocznie z góry były przygotowane na wtargnięcie do Meksyku, albowiem wojska, wysłane na granicę meksykańską, większą ilość potrzebnego uzbrojenia miały już przygotowane, jakby się wybierały na wojnę, dalej materyały do budowy mostów i ogromne zapasy amunicyi.

Wiedeń. (*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*). Tutejszy poseł meksykański oświadczył, że dotychczas nie ma żadnej oficyalnej wiadomości o wtargnięciu wojsk Stanów Zjednoczonych do Meksyku i utrzymuje że zapewne jest tu w grze tylko nieporozumienie, które przez wzajemne deklaracye będzie usunięte.

Stany Zjednoczone grożą.

(*Tel. wł. Gazety Poniedziałk.*).

Kolonia. Na skutek nowojorskich depesz zagroził prezydent Taft zarządowi państwa meksykańskiego, że dalsze trwanie walki pogranicznej wywoła wymarsz wojsk amerykańskich do państwa Meksyku. W Meksyku panuje wzburzenie, wiele miast granicznych formalnie oblężono.

O nową wojskową ustawę karną.

(*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*).

Budapeszt. Prezydent gabinetu Khuen Hedervary udaje się we wtorek do Wiednia, ażeby w dalszym ciągu prowadzić z rządem austryackim rokowania w sprawie nowej ustawy karnej. Obecnie rozchodzi się głównie o kwestyę językową i prawno-polityczną, dotyczącą Bośnii i Hercegowiny. Co do kwestyi tej, panują pomiędzy rządem austryackim a węgierskim poważne różnice zdań.

Samobójstwo włoskiego ministra skarbu.

(*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*).

Rzym. Minister finansów odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru, z powodu nieuleczalnej choroby.

Groźba strejku kolejowego we Włoszech.

(Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej).

Rzym. „Giornale d'Italia" donosi, że sprawa strejku kolejowego nie jest jeszcze załatwioną. Kolejarze wystąpią ponownie ze swojemi żądaniami i postanowili wręczyć ministerstwu ultimatum dnia 29 b. m., w którym formułują swoje żądania i na wypadek nieuwzględnienia tychże grożą generalnym strejkiem.

Zamach na pociąg w Japonii.

(*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*).

Tokio. W pobliżu miasta Kioto wykoleił się pociąg z powodu wybuchu patronu dynamitowego. Lokomotywa i jeden wagon zdruzgotany. Maszynista i palacz ciężko, dziesięciu pasażerów lekko rannych.

Starcia strajkowe.

(*Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej*).

Marsylia. Wczoraj wieczorem przyszło tu pomiędzy strajkującymi a pracującymi robotnikami do krwawych zajść.

Klęska moskalofilów na Bukowinie.

(Tel. wł. Gazety Poniedziałkowej).

Czerniowce. Ostatnie wybory do Sejmu bukowińskiego przeprowadzone według kuryi narodowych, skończyły się klęską moskalofilów. Na 65000 wyborców z ruskich kuryi, zaledwie 4000 oddało swoje głosy moskalofilom; reszta głosowała na Ukraińców. Jeśli się zważy, że przy ostatnich wyborach do parlamentu w r. 1907 uzyskali kandydaci moskalofilscy przeszło 10000 głosów — należy wynik świeżych wyborów poczytać za klęskę moskalofilów.

Telegramy ekonomiczne Gazety Poniedziałkowej.

Nowe szyby naftowe.

Drohobycz. Na terenie galic. akcyjnego Towarzystwa naftowego otwarto dwa nowe szyby, których wydajność dzienna wynosi 6 cystern.

Bilans kartelu żelaznego.

Wiedeń. Odbyt zewnętrzno krajowy austryackiego kartelu żelaznego wynosił w miesiącu marcu 344.150 metr. cetnarów żelaza sztabowego i fasonowego (w porównaniu z miesiącem poprzednim +29.096 metr. cetnarów), dalej w trawersach 118.458 m. cetn. (—315), w grubych blachach 37.928 m. cetn. (+6306), w szynach 105.651 m. cetn. (—6410). W całym pierwszym kwartale rb. wynosił odbyt żelaza 1,503.000 metr. cetn., w porównaniu z rokiem zeszłym 132.900 metr. cetn. czyli 9·7% więcej.

Telegramy c. k. Biura Korespondencyjnego.

Z podróży prezydenta Fallières'a.

Paryż. Prezydent Falliéres w towarzystwie ministrów Delcassego i Pamsa i podsekretarza stanu Chaumeta udał się w sobotę do Tulonu, gdzie wsiądzie na okręt, odpływający do Tunisu.

O kupczenie odznaczeniami.

Paryż (Ag. Havasa). Minister sprawiedliwości Pernier i podsekretarz stanu Malvy, konferowali wczoraj z prokuratorem o aferze, w której chodziło o kupczenie odznaczeniami. Po konferencyi aresztowano adwokata Valensiego, u którego znaleziono cały szereg dyplomów akademickich. Te dyplomy miał on sprzedać a otrzymał je, jak twierdzi, od pewnego polityka, którego nazwisko wymienił.

Międzynarodowy instytut prawa.

Madryt. Pod honorowem przewodnictwem ministra spraw zagranicznych Garci i Preta i w obecności francuskiego, angielskiego, włoskiego i niemieckiego ambasadora, jakoteż nuncyusza papieskiego, otwarto tu posiedzenie międzynarodowego instytutu prawa.

Konstytuanta portugalska.

Lizbona. Zgromadzenie konstytucyjne składać się będzie z 235 posłów.

Ustąpienie hr. Berchtolda.

Petersburg. Car przyjął ambasadora austrowęgierskiego hr. Berchtolda na audyencyi pożegnalnej.

Sytuacya w Szampanii.

Reims. Ubiegła noc pszeszła spokojnie, tylko w Fonteine Sur Ay, spalono kilka hektarów winnic.

Przewrót koniecznością.

Lisbona. Partya republikańska ogłosiła manifest wyborczy do ludności, wyjaśnia w nim stosunki w czasach monarchicznych i stwierdza, że przewrót był rzeczą konieczną.

Podróż prezydenta Fallières'a.

Tulon. Prez. Fallieres na okręcie Versle wydo Tunion.

Zgon matki ministra.

Praga. Umarła tu Weronika Marcowa matka ministra robót publicznych, w 88 r. życia.

Mowa Geszowa.

Sofia. Prezydent ministrów Geszow, wygłosił w Ruszczuku mowę, w której przedstawił zapatrywania rządu na politykę zagraniczną. Rząd bułgarski pragnie pokoju i chce z innemi mocarstwami, szczególnie sąsiednimi, pozostawać w stosunkach przyjaznych.

Maksym Gorkij.

Zburzona tama.

Fantazya.

Na dzikiej i ponurej północy, kędy wicher zagraża swym lodowatym podmuchem wszystkiemu, co żyje, kędy stare sosny i jodły, okryte kobiercem zimowym, z rzadka jeno widują uśmiech i pieszczotę wiosennego słońca — niegdyś, dawno, bardzo dawno temu, z niezmierzonej głębi morza, wydobywała się tama olbrzymia, ręką człowieka wzniesiona.

Stercząc wyniośle ponad poziomem burzliwego morza, drwiła ona z wysiłków spienionych fal, rozbijających się bezsilnie o jej hardych złomów.

Fale, niegdyś tak potężne i wolne, musiały hamować swój bieg. Drogę zagradzała im niepokonana przeszkoda z granitu. Lecz dusze mając niezłomne nie mogły znieść więzów. I oto postanowiły walczyć z przemocą. — I długo rwała ta walka odwieczna, długo rozbijały swe piersi mocarne fale morskie, aż wreszcie pokonały ją. Twiąca w nich nieokiełznanej woli potęga przyniosła im zwycięstwo.

I oto w brzaskiem okryty poranek majowy, gdy jeno pierwsze promienie słońca zajaśnieją nad wodą, a rozkołysane morze przelewa się od krańców do krańców, srebrzą się w słońcu spienione grzywy fal i taką pieśń nucą o walce z tytanem.

Jak ptaki niebieskie, płynęliśmy swobodnie po obszarze wód, my, fale morskie. Burza-matka kołysała nas do snu piosenką. W beztrosce radosnej pędziliśmy w ciemną dal za niedoścignioną marą młody.

Lecz oto groźny i ponury tyran Północy, zazdroszcząc swobodnego losu, zapragnął odjąć nam Wolność. Gniewało go, iż unosimy się tak lekko nad bezdennym chaosem wód, iż śmiejemy się do jaskrawo rozpalonego słońca, do lazurowego nieba.

Wysłał zatym rabów pokornych. Posłuszni skinieniu władcy, jęli spełniać jego wolę: poczęli wydobywać z wnętrza ziemi skały zimne i twarde i rzucać je na dno morza.

Uradowałyśmy się ogromnie, rozradowało się morze. Patrzymy figlarnie, jak skały lecą na dno, igramy uśmiechem, swawolimy przekornie, obejmujemy pieszczotliwymi ramionami przybyszów z dalekiego lądu. I wołamy, klaszcząc w dłonie radośnie: „Z wnętrza wilgotnej ziemi przyszli do nas goście ponurzy. Toż to będzie uciecha! Toż to będzie uciecha!... Dalej! pląsajmy w koło! przywitajmy ich wesołą piosenką, ogrzejmy pieszczotą radosną! Nikt nam nie zabroni igrać z nimi w rozkołysanem morzu, nikt nam nie zabroni śpiewać hymnów na cześć Świata i Wolności!

Tak nam było wesoło!

Matka-Burza i Ojciec-Huragan pomrukują złowrogo. Poświstem groźnym przeprowadzają gości. A skały walą się i walą na dno morskie, zwarto przylegają do siebie piersiami, rosną niby ów mur niezłomny, poczynają odpychać nas od siebie rękoma, by wreszcie na zawsze zagrodzić nam drogę.

aZasmuciły się siostry-fale, lękliwie poglądają ku gościom ponurym. Po raz pierwszy skuto nam Wolę I przedłużając swej biegu trwożliwie. z jękiem uderzamy o skały, lecz tama precz nas odrzuca. Ściana jest zimna i nieprzystępna.

Wzdrygnęło się morze. Lecimy — fale przetmutne i zawodzimy żałośnie: „Zdrada! Zdrada!" Podejmowaliśmy ich jako gości, a oni wykradli nam Wolność! Zdrada! Zdrada, o siostry!

Burza-Matka szlocha rozpacznie, wzbiera rykiem pierś Huragana Ojca.

„O, skały, o, groźne skały! Niegdyś i wyście były swobodne, niegdyś piersi wasze oddychały Wolnością, czemuż zabieracie dziatkom swobodę?!"

Zmarszczyły brwi wstające z głębi tytany: „Nie nasza wola nas rzuca!" — odparły ponuro i oniemiały na wieki.

Pomknęła Matka-Burza, przeleciał nad morzem Ojciec Huragan i niosą nam wieść grobową:

„O fale, o zwycięzkie fale! Nie masz już Wolności! Odtąd wy raby przeklęte!"

Ponuro pomknęli w dal, a morze zamarło.

Potężne, stare fale ułożyły się do snu na dnie morza. Już ich Matka-Burza nie budzi, już Ojciec-Huragan nie wzywa.

Instynkt dziecięcy.

Przez Leona Frapie.

Pan Rachinot, pomocnik naczelnika w ministerstwie, był starym kawalerem, egoistą, przywiązanym jedynie do swego zawodu; nie odczuwał żadnej potrzeby koleżeństwa i mało dbał o to, że go nie lubili podwładni. Lokal biurowy, ruchomości biurowe, sprawy biurowe, to było jego ulubione i wyłączne towarzystwo, bez którego żadna istota ludzka obyć się nie może. Po za swojem biurem nie znał nikogo; nikomu nie oddawał przysługi.

Czarno ubrany, chudy, sztywny, szorstki, wyglądał na starego lichwiarza. Z oczu patrzało mu skąpstwo i chciwość.

Gdy zwracał się do którego z podwładnych, mówił głosem nosowym, powolnym, niechętnym.

— Powiadasz pan, że operują o drugiej pańskie dziecko, chore na krup? No, cóż! nie będzie to trwało do wieczora! Mam nadzieję, że wrócisz pan do biura po operacyi!

Wymawiał to „mam nadzieję", spoglądając zimno bezwzględnemi oczyma.

Nadszedł wreszcie czas, kiedy Rachinot został emerytem. Z dnia na dzień pozbawiony otoczenia biurowego, doznaje uczucia samotności prawdziwej i zupełnej; jest jakby wygnańcem, nie ma powodu pójścia do kogokolwiek, porozumiewania się lub rozmawiania z kimkolwiek.

Nie można pogrążyć się w nicości. Rachinot udaje się w okolice ministerstwa w godzinach, w których urzędnicy do biura przychodzą, powtarza spacer w tym samym kierunku, gdy wychodzą. Lecz jak zacząć rozmowę? Właściwie nie zna ich, pozostał im obcy w ciągu całej swej karyery. I żaden do niego się nie zbliża, nikt nie zwraca uwagi na tego nieznanego przechodnia.

Po tygodniu przykrego krążenia przypomina sobie niższego urzędnika, nazwiskiem Martin, który nie był wprawdzie w jego wydziale, lecz kłaniał mu się, jako pochodzącemu z jednych stron. Zbliża się do niego, starając się być jak najbardziej uprzejmym, zapytuje o jego zajęcie, o żonę, która także pochodzi z tej samej okolicy. Dowiaduje się z radością, że Martin ma troje małych dzieci; chciałby je zobaczyć. Jakie są? do kogo podobne? Martinowi wypada go zaprosić.

— Może pan kiedy w niedzielę do nas wstąpi.

W najbliższą niedzielę Rachinot pospiesza odwiedzić go, a widok rodzinnego życia państwa Martin pokrzepia go w samą porę; osamotnienie odebrało mu już apetyt, pogodę ducha, energię; gnębią go różne niedomagania.

Prosi o pozwolenie powrócenia nie tylko w niedzielę, lecz w czwartek wczesnym wieczorem przed obiadem. Może jednak przychodzić tak często tylko pod pozorem, że lubi dzieci. Ale tu wynika trudność; za pierwszem spotkaniem dzieci przestraszyły go się.

— Powrócę — mówi — powrócę niedługo, bo je pragnę ze sobą oswoić.

Istotnie przychodzi co drugi dzień, przynosząc zabawki i cukierki. Lecz dzieci biorą podarki i uciekają; rodzice zachęcają je daremnie, aby były grzeczne, stronią od niego zarówno dwaj chłopcy: pięcioletni Moryś i trzyletni Riri, jak i starsza od nich, sześcioletnia dziewczynka. Unikają starego emeryta przez instynkt prostoty i tkliwości dziecięcej. Odgadują one w każdym większą lub mniejszą słodycz po rysach twarzy, spojrzeniu — dobroć je przyciąga. Lecz na odwrót czują nieprzezwyciężoną odrazę do samoluba, co nigdy nic dla nikogo nie uczynił; w twarzy emeryta nie ma ani cienia łagodności.

Z czasem usposobienie dzieci oddziaływa na rodziców. Przyjmują niemiłego gościa coraz chłodniej; Rachinot wpada w zadumę, czuje się nieszczęśliwym; namyśla się, co zrobić dla pozyskania serca dzieci; obawia się znowu pozostać sam w opuszczeniu, jak rozbitek.

* * *

Pewnego dnia Rachinot wychodzi z domu z zamiarem pożegnania się ostatecznie z rodziną państwa Martin. Zniesie dziś jeszcze ich lodowate przyjęcie i na tem koniec; nie ma już śmiałości nadal się im narzucać... W drodze drobny wypadek na ulicy zwraca jego uwagę: dorożkarz, jadąc szybko, przewrócił wózek przekupki owoców. Tem gorzej dla niej! Nikt jej nie nagrodzi towaru stratowanego pod kopytami i kołami powozu, którego woźnica zaraz odjechał. Rachinot podnosi kilka pomarańcz i składa je na wózek machinalnie, gestem starego maniaka, nielubiącego nieładu. Lecz dziecko przekupki spogląda na niego smutnemi oczami.

Idąc za niewytłómaczonym popędem, Rachinot sięga do kieszeni:

— Słuchajcie, zapewne straciliście co najmniej za pięć franków towaru... Weźcie to.. i nie martwcie się...

Zbudziło się w nim jakieś nowe uczucie: dobroć opromieniła mu twarz, jak odblask słońca. A dalej idąc, myśli:

— Zapewne w tym wózku był cały jej majątek... nie można przecież żyć, nie współczując ludzkiej niedoli...

Potrząsa głową, oczy nabierają wyrazu; widocznie nowy jakiś Rachinot tłómaczy dawnemu ten niezwykły mu odruch dobroczynny.

Przychodzi do pp. Martin — co za fatalność! — dzieci pozostawiły cukierki nietknięte na stole w jadalnym pokoju! Nie próbuje już nawet, jak dawniej, przywołać je do siebie. Już koniec, dzieci więcej nie zobaczy, pozostanie sam, w opuszczeniu, którego kres chyba teraz prędko nadejdzie...

Po przywitaniu pp. Martin, pada na krzesło, aby wytchnąć przez chwilę, lecz już zapowiada, że zaraz odejdzie.

I oto mała Julcia zbliża się, patrzy na niego roztropnie, uśmiecha się:

— Wiesz — mówi — już się ciebie nie boję. Jesteś jakiś inny, nie ten, co dawniej.

Przybiera minę chytrą, milutką, a naśladując mamę, odgadując, co dzieci robiły, wracając ze szkoły, śmiejąc się, grozi paluszkiem:

— Ależ ty, mój staruszku, zmieniłeś jakoś oczy po drodze!

Koniec Napoleona.

W odpowiedzi niejako na francuskie tłómaczenie pamiętników Hudsona Lowe'a, ogłosił p. Omessa w „Les Pages Modernes“ kilka dokumentów, mających przemawiać za tem, że Napoleon nie zakończył życia na wyspie św. Heleny. „Dokumentów“ tych które autor zestawia, jest pięć. Pierwszy, to wyjątek z pamiętników agenta policyjnego, Ledru, wydanych w r. 1840 w Liege p. t., *Mémoires de l'agent Ledru*. Autor tych pamiętników zapewnia, że w r. 1808 osławiony Fouché minister policyi, polecił mu wynaleźć kogoś, ktoby mógł w razie potrzeby uchodzić za cesarza. Taki sobowtór Napoleona znalazł się w 3 pułku woltyżerów, pod dowództwem pułkownika Rachalve, który o tem zawiadomił agenta Ledru, a ten odesłał go do Fouché'go. Żołnierz ten urodzony w. r. 1781, nazywał się Franciszek Eugeniusz Robeaud i pochodził z Baleycourt (dep. Meuse). Do roku 1816 nie słyszał o nim Ledru; dopiero w tym czasie powziął o nim wiadomość z doniesienia mera „z Baleycourt, który zawiadamiał policyę Ludwika XVIII o zniknięciu od roku woltyżera Robeaud i o braku wiadomości o zaginionym. Wdrożono śledztwo, które nie dało żadnych rezultatów. „Ja zawsze podejrzywałem kryjącą się w tem jakąś tajemnicę“, kończy Ledru.

Drugie „świadectwo“ pochodzi od Miss Maud Ella Riche, która znała Napoleona, a później odwiedziła go na wygnaniu. Wygnaniec z wyspy św. Heleny wydał się jej zupełnie obcym, a nadewszystko zadziwiło ją to, że generał Bertrand i lekarz przyboczny mówili doń bez szacunku, on zaś odpowiadał z uniżonością. Trzecim „dokumentem“ są zeznania pewnego jubilera werońskiego, nazwiskiem Petrucci. W roku 1816 spostrzegł on w poblizkim sklepie optycznym nowego gospodarza, człowieka pięćdziesięcioletniego, którego rychło przezwano „Buonaparte“ wskutek podobieństwa jego do cesarza francuzów. Był to człowiek wielkiej inteligencyi; potrafił zjednać sobie przyjaźń sąsiadów, cieszył się przytem rozległą klientelą.

W r. 1823 przyszedł do Petrucciego z pożegnaniem i zostawił mu list do króla francuskiego, prosząc o odesłanie tego listu wedle przeznaczenia, gdyby w ciągu trzech miesięcy nie wrócił. Petrucci list wysłał po upływie terminu, a wkrótce zjawił się u niego agent policyi francuskiej, który dokonał likwidacyi sklepu optycznego, a Petrucciemu wręczył 100.000 franków, by okupić jego milczenie. Petrucci umarł w przekonaniu, że tajemniczy optyk, któremu zawdzięczał swą fortunę, był to Napoleon.

Czwarty „dokument“ jest wyciągiem z zapisek prywatnych Karola Fryderyka Arnsteina, urzędującego w Schönbrunnie, który pod datą 5 września 1823 zanotował co następuje: „Wczoraj jakiś nieznany człowiek usiłował przedostać się nocą do parku przez terasę. Szildwach strzelił doń raniąc go śmiertelnie. Przed śmiercią wymówił tylko te słowa: „Książę Reichstadtu... król... syn...!“ Nie znaleziono przy nim żadnego dokumentu, któryby pozwolił ustalić jego nazwisko. Musiała to być znaczna jakaś osobistość francuska, gdyż ambasada była wielce poruszona i zażądała wydania jego ciała“.

GUSTAW ROGEOT.

NASZYJNIK.

Magdalena de Tiranges była niewątpliwie szczęśliwa. Wiedziała, że młody i świetny adwokat, który od pierwszego wejrzenia podbił jej serce i wkrótce potem ją poślubił, musiał mieć przed nią kochanki, ale czyż jest mężczyzną, któryby nie miał romansów przed ślubem? Zresztą Antoni był pełen tkliwości, względów serdecznych i nie zawiódł porywu jej młodego serca, które oddało mu się z zaufaniem ślepem. Magdalena dotychczas nie znała wstecznej zazdrości, która natarczywemi, a niedyskretnemi pytaniami nęka tylu młodych mężów i psuje pożycie.

Tak, była niezaprzeczenie szczęśliwa. Ale szczęście bywa niekiedy smutne. I oto w sercu jej powstał nagle niepokój dziwny a nieustanny. Składała się nań w większej mierze ciekawość, niż zazdrość.

Przy wyobraźni żywej, przy wielkiem zamiłowaniu i poczuciu sztuki, Antoni de Tiranges miał zmysł porządku i ładu, konieczny w jego zawodzie. Posiadał charakter stały, prawy, lojalny. Magdalena nie chciała wątpić, iż żeniąc się z nią, uporządkował nietylko interesy, lecz i przekreślił poprzednie miłostki.

Ale czy podobna zapomnieć o chwilach bezpamiętnych porywów, o uczuciach szalonych może, lecz silnych, o zapałach młodzieńczych, których wspomnienie pozostaje na zawsze, budząc nieraz żal za przeszłością, przechowywaną w sercu jak relikwia? Nie, nie można zapomnieć o młodości i związanych z nią wzruszeniach, a te wzruszenia oplatają się zwykle dokoła jakiejś kobiety...

W swoim wytwornym gabinecie, Antoni miał poważne biurko i zwykł był zamykać na klucz wszystkie szuflady. Jedna z nich miała zamek specyalny, a klucz od niej nie znajdował się wśród innych na kółku.

W pierwszych chwilach to biurko napełniało młodą żonę poszanowaniem należnem, widziała w nim jakby symbol pracy i wytrwałości. Po pewnym czasie poczęła ją zaciekawiać szuflada ze specyalnym zamkiem. A przyglądając się baczniej mężowi, dostrzegła, że bywa roztargniony, że często odbiega od niej myślą. W oczach jego widziała nieraz smutek, jakby żal. Jego czułość wydawała jej się nieraz sztuczna, nieszczera, a im bardziej poznawała, czem jest miłość, tem bardziej martwiły ją objawy uczucia męża; było w nich przywiązanie spokojne, zrównoważone, brakło porywów, zapału.

Nieraz, po jego wyjściu z domu, siadywała przy biurku i wpatrując się w tajemniczą szufladę, puszczała wodze myślom. Wyczuwała pod tym zamkiem jakiś przedmiot, drogi jej mężowi. Tam, w tej to szufladzie, leżała tajemnica jego serca.

Od lat dwu, jak żyli ze sobą, nie było między nimi nic wspólnego prawdziwie, nic takiego, coby zespoliło na zawsze ich dusze. Przekonywała się z każdym dniem, że mąż jest innym, niż jej się w pierwszych miesiącach zdawało i z każdym dniem stawała się bardziej podejrzliwą. Coraz dłużej siadywała przy biurku i zazdrośnie wpatrywała się w szufladę.

Aż oto pewnego dnia mąż zapomniał klucz w zamku. Pokusa była zbyt silna. Magdalena wysunęła szufladę i ujrzała w niej jeden tylko przedmiot — długi skórzane etui, a w nim naszyjnik w złote ogniwa, starej włoskiej roboty. Leżał w całej długości na ponsowym, wypłowiałym już aksamicie i miał bladą barwę klejnotów, nie biorących udziału w życiu człowieka.

Magdalena wyjęła go z etui powoli, przyjrzała mu się uważnie. Nie musiał być kosztowny, ale miał w sobie jakiś wdzięk oryginalny, przesiąkł jakby indywidualnością osoby, która go nosiła.

Młoda kobieta, patrząc nań, popadła w zadumę...

Miłość sama przez się nic nie znaczy. Pożądanie, tkliwość nawet przechodzi bez śladu, lecz okoliczności towarzyszące uczuciom tworzą nastrój; mnóstwo rzeczy nieuchwytnych składa się na utrwalenie pewnych wzruszeń na zawsze; jedno mgnienie oka, jedno wejrzenie jedno słowo zapada w głąb duszy i obejmuje ją w posiadanie. — Ten naszyjnik musiał być świadkiem takiej chwili. Gdzie się ona rozegrała? Jak dawno?

. . . .

Owego wieczoru byli zaproszeni na obiad. Magdalena, otulona w futro, czekała na męża, który wrócił na ostatnią chwilę.

— Już jesteś gotowa? — zapytał.

— Spiesz się, późno — odpowiedziała głosem stłumionym.

Ubrał się prędko. Przyjechali ostatni. W przedpokoju, w chwili, gdy żona zdejmowała futro, Antoni poprawiał krawat przed lustrem. Gdy weszli do salonu, rozdzieliły ich ukłony, prezentacye. Nie widzieli się wzajem. Dopiero w chwili, gdy goście przechodzili do sali jadalnej, oczy Antoniego padły na żonę i zatrzymały się długo na jej szyi. Otaczał ją złoty naszyjnik.

Magdalena uczuła w sobie nagle niemoc. Zdawało jej się, że zemdleje. Spojrzała w lustro, naprzeciwko wiszące i zobaczyła, że jest śmiertelnie blada i że jej złote włosy mają tę samą barwę, co naszyjnik.

W chwili szału postanowiła włożyć naszyjnik, aby mu pokazać, że wie, że rozumie, że przebacza, ale w zamian pragnie, aby z nią o tem mówił, aby jej zwierzył swą tajemnicą. Było to nieme wyzwanie, okrzyk serca, spragnionego miłości niepodzielnej. Czemuż tak na nią patrzał? Wiła się pod spojrzeniem.

Gdy wracali do domu nie odezwał się do niej, słowem. Lecz za powrotem zdjął z niej futro i znowu patrzył — temi stalowemi, nieprzeniknionemi oczyma.

Milczeli oboje. Czuła się nieszczęśliwą bezmiernie, pragnęła zniknąć, rozpłynąć się, uciec na zawsze od tych jego oczu stalowych. Naszyjnik palił ją. Chciała go zerwać, rzucić na ziemię. On zbliżył się, bardzo zręcznie, nacisnął sprężynkę - umiał się z nią obchodzić i zdjął z jej szyi ten klejnot. Przyglądał mu się długo, miłośnie.

— Nie jest ci do twarzy w tym naszyjniku — powiedział chłodno!

Od owego wieczoru byli dla siebie zgoła obcy. Rozstali się niebawem.

Naczelny redaktor i wydawca: Zygmunt Rosner. Redaktor odpowiedzialny: Feliks Szczepanik. Druk A. Rippera w Krakowie